

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 15 marca 1959 r.

W ŁÓDZI ISTNIEJĄ DWA TEATRY LALEK: „PINOKIO” I „ARLEKIN”. OBA CIESZĄ SIĘ DUŻĄ POPULARNOŚCIĄ WŚRÓD DZIATWY, MŁODZIEŻY... I DOROSŁYCH. W CIĄGU KILKULETNIJ DZIAŁALNOŚCI, POLSKIE TEATRY LALEK POTRAFIŁY ZDOBYĆ SOBIE PUBLICZNOŚĆ I OSIĄGNĘŁY WYSOKI POZIOM ARTYSTYCZNY SPEKTAKLI. STĄD KILKA NAGRÓD I WYRÓŻNIEŃ, KTÓRE IM PRZYZNANO W KRAJU I ZA GRANICĄ (OSTATNIO — NA MĘDZYNA-

DANUTA
TARCZYŃSKA

WŚRÓD LALEK

RODOWYM FESTIWALU TEATRÓW LALEK I MARIONETEK W BUKARZESZCIE W 1958 ROKU, GDZIE WIELKĄ NAGRODĘ FESTIWALU OTRZYMAŁ TEATR „LALEK” Z WARSZAWY, ZAŚ SREBRNE MEDALE „GROTESKA” Z KRAKOWA I ŁÓDZKI „ARLEKIN”.

KAŻDY TEATR SKŁADA SIĘ NIEJAKO Z TRZECH CZĘŚCI: Z WIDOWNI, GDZIE WSZECHWŁADNIE PANUJĄ WIDZOWIE I RE-CENZENCI, ZE SCENY, KTÓRA JEST DOMENĄ AKTORÓW, REŻYSERA I SCENOGRAFÓW, ORAZ Z TZW. „ZASCENIA”, ROZPOCZYNAJĄCEGO SIĘ OD KULIS, GDZIE PRACUJE CODZIENNIE WIELU ŁÓDZKICH TEATRÓW, KTÓRZY OŻYWIJAJĄ SCENĘ.

WEJDŹMY ZA KULISY „ARLEKINA”.

— Jaka jest wasza droga?
— A ptaków?
— Gdzie pani lata?
— A pani?
— Dobrze! Uważać, żeby nie było zderzenia z drugim ptakiem.

— Muszka — proszę znaleźć wolny tor, Gawronaszkę, uważać na wolne pola! Drobną ruchy, uwaga na akcent, numer jeden i trzy wychodzi wysoko.

— Dobrze.
— Patrzcie, patrzcie gawronaszkę pogubiły ogonaszki... przy tym śpiewie następuje szybkie przegrupowanie.

— Halona, naszaj jasne plamki gawronaszkom, żeby wyglądały jak podskubane.

— Zaczynamy od początku!



— Ruch, szum, zadarte do góry głowy, ręce mdleją — normalne. Próba.

Tutaj właśnie przygotowuje się nowy program, a za kilka czy kilkanaście dni tłumy rozciekawionych dzieci będą śledziły z zapartym oddechem przygody lalekowych bohaterów, będą im podpowiadały z widowni, co mają robić, aby umknąć niebezpieczeństwu.

A potem?... Potem zaczyna ciągnąć rodziców na nowe przedstawienie.

Czas zawarty między końcem próby a początkiem przedstawienia, to okres odpoczynku lalek i aktorów. Aktorzy — zwyczajni ludzie idą na obiad, na kawę, czy do kina, a lalki?...

Lalki cichutko przycupnęły na swoich miejscach za kulisami i czekają, aż ożywi je głos, ruch i temperament człowieka.

Cisza... pusto... Skrzypek o natchnionej twarzy zastygł

Dokończenie na str. 7

WIESŁAW JAŹDŹYŃSKI

MAŁE MIASTECZKO WIDZEW

MA SIĘ TEN HONOR...

Na Widzewie jak w małym miasteczku — wszędzie blisko. Nie załatwisz, dajmy na to, sprawy w Radzie Narodowej — masz dzielnicowy komitet partii naprzeciwko. Nie załatwisz — kościół naprzeciwko. I komisariat MO naprzeciwko i przychodnia lekarska naprzeciwko. Szkoła również naprzeciwko, podobnie kino i okazała plebania.

Chodzę ja sobie po Widzewie i co rusz odkrywam nowe cechy miasteczka. Spójrzcie, proszę, na zdjęcie tego sympatycznego obywatela. Robotnik, stary widzowiek, z dziada pradziada. Stuknęła mu już pięćdziesiątka, urodził się i mieszka na kunitzerowskim osiedlu. Ten zielony drewniak pamięta jeszcze jego ojciec, pomagał go nawet budować. Syn i owszem, także dla Widzewa zasłużony, budował stadion, bodaj w 1918 roku. Jak się żyje? Spokojnie się żyje. Latem, na zapleczu rozległego osiedla dojrzewają owoce w ogródkach, barwne kwiaty cieszą oczy, wszędzie słychać gdańskie kur, hodowanych masowo, gwizdzą gołębiarze. Jest tych gołębi więcej niż ludzi na osiedlu. Starsi sładają na ławeczkach w cieniu

drzew, piją sobie piwo, albo coś mocniejszego, co jakiś czas wybuchają spory. Przeważnie o króliki. Króliki, to obok gołębi, wielka pasja wielu widzowlaków. Tyle, że rodzą się, dranie, gęsto, mieszają i stąd nieraz spory, gorące pyskówki urozmaicają spokojny żywobył. Jak jest kobietom? Gorzej jest. Wode nosi, węgiel nosi, gotuje, sprząta, myje, czyści, leczy, do domu przyprowadza, w sklepie stoi i jeszcze do „Niciarki” skoczy popracować trochę. Dobrze, że u nas takie kobiety wymyślił.

Osiadłe kunitzerowskie, sto chyba domków zbudowanych pod sznuręk, stanowią — jak zresztą cały rdzeny Widzew, wciąż jeszcze lokalna i zamknięta społeczność. Wszyscy się tu znają, obserwują, kontrolują, żenią, stąd też rozległe dynastie włókiennicze, stąd całe serie jednakowych nazwisk.

— Czy u nas jest bezpiecznie? — mój rozmówca uśmiecha się. — Raz mi skradli dwie kury i jednego

indyka, a potem jeden złodziej się powiesił, a drugiego spaliło od wódki.

Porucznik Wiliński, zastęp-

(Dalszy ciąg na str. 3)

ANKIETA O TEATRZE NOWYM

Jarosław Iwaszkiewicz

Czytałem artykuł Kotta o „Barbarze Radziwiłłównie” w Teatrze Dejmk. Pomyśl, aby wszystko, co dobre sprowadzać do Warszawy uważam za aberację. A co to, czy Łódź nie zasługuje na dobry teatr, nawet kalibru „narodowego”? Może raczej trzeba zastanowić się nad tym, dlaczego powstał w Łodzi tego typu teatr. A przede wszystkim nie przesadzać z ogródką do ogródka. Niektóre rośliny o długich korzeniach tego nie znoszą.

Stawisko, 19. II. 59.

Adam Hanuszkiewicz

Dziękuję za list. Czytałem. Odpowiadam. Propozycja Kotta jest — jak mi się wydaje — raczej efektywną pointą, komplementem pod adresem Teatru Nowego, niż konkretną propozycją. Gdyby było inaczej niż myślę, należałoby wtedy spytać publiczność Teatru Dejmk i oczywiście jego samego. Zyczylbym wtedy im zgodnej odpowiedzi — nie. Bardzo wysoko cenię ten Teatr, który mi dostarczył wiele najpiękniejszych wzruszeń.

Warszawa, dnia 19 lutego 1959 r.

Roman Szydlowski

Artykuł Jana Kotta pt. „Niespodzianka z Radziwiłłówną” w „Przeglądzie Kulturalnym” czytałem i nie zgadzam się z nim ani w ocenie sztuki i przedstawienia, ani we wnioskach końcowych.

Projekt przeniesienia Teatru Nowego lub jego dyrektora Kazimierza Dejmk do Warszawy i powierzenia mu Teatru Narodowego uważam za niedorzeczny i szkodliwy zarówno dla Łodzi jak i dla samego twórcy Teatru Nowego. Po pierwsze jestem przeciwny ściąganiu wszystkiego, co wartościowe, do Warszawy. Dość popełniono już w tej dziedzinie błędów w przeszłości, ogolając nasze ośrodki pozawarszawskie z wybitnych twórców. Wystarczy wspomnieć exodus teatru Schillera i Axera z Łodzi w roku 1948 i 1949, czy też przeniesienie się Bronisława Dąbrowskiego z czołowymi aktorami Teatru im. Słowackiego z Krakowa do Warszawy i wyjazd Edmunda Wiercińskiego z Wrocławia, aby uprzytomnić sobie, jak osłabiliśmy wówczas nasze największe centra teatralne poza stolicą. I dziś, kiedy po kilku latach nareszcie powrócili one przynajmniej po części do swojego dawnego znaczenia i rangi, mielibyśmy znowu zaczynać wszystko od początku? Ściągać do Warszawy Dejmk, a może potem Skuszanek? Czyż poza Warszawą nie mogą istnieć dobre teatry?

Po drugie zaś koncepcja ta wydaje mi się szkodliwa również z punktu widzenia samego Dejmk. Wątpię, aby miał on w Warszawie tak sprzyjające warunki pracy, jak w Łodzi. Gwar, zamęt, ruch wielkiego mia-

(Dalszy ciąg na str. 2)



WITAMY TRZECI ZJAZD PZPR

Nasza szkoła

NASZA WEWNĘTRZNA AMERYKA



Prof. dr J. Belfrowy autentyczny belfer, którego ostatnio po dłuższym niewiedzeniu odwiedziłem opowiada:

Moja gospościa przekroczyła już dobrze sześćdziesiątkę, nie umie czytać i pisać, a co gorsze (z mojego punktu widzenia) i z rachowaniem ma poważne trudności. Pochodzi oczywiście ze wsi i to nie zwykłej, ale „szlachetkiej”, choć do tej szlachetniejszej przypisywany jest bardzo niewiele morgów. Ostatnio dostała list z domu:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochana Babcio! Pieniądze od Babcio otrzymaliśmy, za które bardzo serdecznie dziękujemy. My jesteśmy zdrowi i żywi czego i Babcio z całego serca życzymy. Małkowska zamała nogę... Babcio kochana od nas ludzie wybierają się do Ameryki do Stanów Zjednoczonych. Karol z Kocobów dostał odpis z Ambasady z Warszawy, bo jeździł po druczki i czeka tylko na powiadomienie wyjazdu. Ludzie u nas o tym wyjeździe do Ameryki mówią, kto jeździł do Ambasady to przywózt druczki, to jeden przez drugiego kupują i płać po 100 zł za jednego, aby tylko dostać, ogromnie ludzie chcą jechać. Karol dał Tatusiowi druczki i Tatusi nabrał ogromnej ochoty jechać i zwraca się do Babcio zapytaniem co robić niech. Babcio nam napisze. Mamusia powiedziała, że bez Babcio nie pojedzie, ale jakbyśmy jechali, to myślim, Babcio by się nas nie wyrzekała. Kochana Babcio, jeżeli by ten wyjazd był możliwy, nie byłoby nam w Ameryce źle to byłby ryzykownali, bo tu jest taka straszna dzura — węgiew się skończył i drzewa nie ma. Latem pastwiska nie ma, jedynym słowem bieda. A gdyby człowiek wiedział, że tam będzie dobrze, to by ryzykował i prosił, żeby Babcia koniecznie nam napisała co mamy robić”.

Babcia bardzo listem się zdenerwowała i przez dwa dni o niczym innym nie mówiła. Wpierw zatroszczyła się o swoją w tej imprezie osobę.

„Panie, przecie mnie starszy od tej Ameryki nie wypuszczają. Tam tylko młodych wpuszczają, ładnych i ubranych jak trzeba. Kiedyś po tamtej wojnie taki jeden od nas jechał to go z granicy wrócił. Miał taką od urodzenia czerwoną plamę na twarzy. Widać matkę jak była w ciąży po twarzy dostała czy co to go wrócił bo z taką twarzą to nie potrzebują. A moi też nie mają się w co elegancko ubrać, żeby tak było jak potra na wyjazd. Bo za lichy ubranych to oni nie chcą”.

Potem się zdenerwowała: „Ameryka! Wariaty takie. Tam też bogactwa za darmo nie dają. A jak tu ziemi się wybedziemy to nam nikt ziemi nie wróci!”

Wreszcie zaczęła mnie wypytywać o tą Amerykę: „Czy tam ludzie wszystkie dobrze żyją? Czy też tylko niektórzy? Bo chyba tak dla

wszystkich to też za dobrze nigdzie nie ma? Jak tam wszystko takie pany, to może im potra zwykłych chłopów do roboty, bo ktoś robić musi. Całą noc śniła mi się ta Ameryka, a niech ich... Wariaty tylko by takie niepokoje człowiekowi robili”.

Zobowiązałem się dowiedzieć, jak to jest z tymi wyjazdami. Byłem w Warszawie. Ambasada odpowiadała, że podania o emigrację można składać i Ambasadę dostarcza kwestionariuszy. Kwestionariusze są bezpłatne, więc te sprzedaż po wsiach, to zwykła nadużycia. Na odpowiedź czeka się 15—20 lat, ale w zasadzie emigracji z Polski nie ma.

Babcia bardzo się tą odpowiedzi ucieszyła. Przede wszystkim „spadł jej kamień z serca”, że jej samej wyjazd nie grozi. Poza tym zaś że wrota do raju nie są zupełnie zatrzaśnięte: jej wnuczka (autorka listu) jest tak młoda, że może 20 lat czekać. Kazała mi natychmiast o tej odpowiedzi zawiadomić wieś, napisać żeby żadnych pieniędzy za druczki nie dawali i innych przestępali i żeby wysłali te druczki do ambasady, bo „jakby co, to nie pojechać zawsze można”. Potem się uspokoiła.

Codziennie odnoszę do kuchni stertę gazet i czasopism. Gospościa traktowała je dotąd jako papier do pakowania, wkładania podłogi itp. Wubiera co ładniejsze obrazki, przyczodzą do mnie i pita: „Czy to Ameryka?” Wyszukiwałem więc jej obrazki o Ameryce i pokazywałem. Siła rzeczy bardzo jej się Ameryka podobała. Znowu powiedziała, że jej się śniło. Nie chciałem brnąć na siebie odnośnie działalności za sny mojej gospoń. Pewnego dnia pokazałem jej więc cały album pięknych zdjęć. „Czy to Ameryka?” Niech naipierw osobista wszystko zobacz. Potem wyjaśnię, że to nie Ameryka tylko Polska i że na obrazkach to i Ameryka i Polska i każdy kraj zawsze ładnie wyglądała.

W ten sposób stałem się propagandystą. Z moich zabiegów propagandystowskich gospościa wyjechała daleko idące wnioski. Wszelkim kto przychodził do kuchni powiadała, że z tą Ameryką to lipa, bo tam jest tak jak i w Polsce. „A tylko, że daleko, nikt nie widział, a tylko na obrazkach ludzie oglądają, to im się Bóg wie co zdaje, bo na obrazkach zawsze ładnie...”

W łódzkiej prasie ukazują się stale artykuły na temat przenosin ludzi z Łodzi do Warszawy, określanych mianem „owczego pedu” i przenosin z prowincji do Łodzi, określanych tymże samym mianem. Niektórzy felietoniści wyspecjalizowali się nawet w owym problemie, wróże, że uzyskana specjalność służyć im będzie przez długie jeszcze lata. Wszystkie apele w tej kwestii i tłumaczenia ludzkiej „ogólnych racji” pozabawione są wszelkiego sensu.

Przeciętna płaca miesięczna w Polsce wynosi a raczej

wynosiła 1.395 zł. (Wszystkie cyfry, pochodzące z opracowań Instytutu Gospodarczego Społecznego, dotyczą 1957 roku).

Przeciętna płaca miesięczna jednego ZATRUDNIENEGO mieszkańca Warszawy wynosiła 1.720 zł, a mieszkańca Łodzi — 1.652 zł. Przeciętny dochód (z wszystkich źródeł, nie tylko z funduszu płac) na 1 mieszkańca kraju (zatrudnieni, niezatrudnieni, dzieci itp.) wynosiła 750 zł, na 1 obywatela Warszawy 1.470, a Łodzi 1.345 zł.

Wymowa tych cyfr jako takich i ich zestawienia jest bardzo wieloraka.

Przed wszystkim potwierdzają one znaną prawdę, iż dysproporcja między stopą życiową ludności małych miasteczek i dużych miast jest ogromna, sięgająca 100 proc. Stąd i niezahamowalność „wewnętrznej emigracji”, objawiającej się w istniejącym naporze na duże miasta. Przynajmniej środkami propagandowymi.

Napór na Łódź i inne metropolie będzie maleć w miarę uprzemysławiania i zmiany struktury gospodarczej rejonów ekonomicznie zafundowanych. Nie wcześniej jednak i nie inaczej.

Po drugie, mitem jest ogólne w Łodzi przekonanie o różnicach w poziomach życia Łodzi i Warszawy na niekorzyść Łodzi. Jak widziemy różnica taka istnieje, ale jest nieznaczna w stosunku do różnicy: małe miasteczko — Łódź. Stąd wniosek o ekonomicznej bezzasadności pedu łódzian ku stolicy. Wreszcie wniosek a raczej refleksja ostatnia, co nie znaczy poślednia, przeciwnie w dnach tych chyba wielce aktualna.

Powiadamy wszyscy razem i każdy z osobna, że w Polsce jest źle, że żyje się biednie i kiepsko. Nasze subiektywne o tym przekonanie płynię z własnych „wzrostu” obserwacji ogólnych, z wiedzy o własnym poziomie życia i z cechy, którą jak wszyscy i zawsze ludzie posiadamy — niezadowolonia z istniejącego stanu rzeczy i pragnienia, żeby było lepiej. Te kryteria oceny nie są wszakże ścisłe.

Przytoczone cyfry w jakimś sposób obalają mity o tym naszym „źle” nie przez to, że ukazują jakowyś raj na ziemi, ale poprzez uściślanie tego, tak względnie przebiega „źle”. Gdy zbadać budżety rodzinne, okazało się, że 750 zł — liczba „dochodu na głowę” w całej Polsce (przypominam, że jest to liczba z roku 1957, w roku 1958 była ona niewątpliwie wyższa) — to z punktu widzenia życiowych i podstawowych tylko potrzeb każdego człowieka — mało.

Warszawskie 1.470 złotych i łódzkie 1.345 złotych to już nieźle. Oznacza to, że dochód przeciętnej rodziny (zakłada się, że przeciętna rodzina w Polsce liczy 2,8 osób) sięga 3.500 zł.

Kto je ma? — zapytanie zdenerwowani, podając przykłady niskich zarobków własnych, zarobków sąsiadów itp.

Temu komuś na imię większość!

Zasadnicza, w chwili obecnej tak żywo dyskutowana sprawa dysproporcji: duże miasta — prowincja stanowi problem, który bym nazwał kwestią „naszej wewnętrznej Ameryki”. W ludzkiej świadomości sprawa tej Ameryki nie może być dziś zakończona i książkę z obrazkami nie tu nie pomaga. Szczegół, że nikt ich nie wydaje i nie pokazuje.

BELFER



JERZY ŁUKASIK ZAWIŁE - DROGI - MECENATU.

OD PARU LAT NA ZBIOROWYCH I INDYWIDUALNYCH WYSTAWACH PLASTYKI ZJAWIA SIĘ KUPUJĄCY OBRAZY MECENAS. NIE ZDARZYŁO SIĘ JESZCZE, ABY ÓW MECENAS PRZECOCZYŁ KTORAS Z WYSTAW. JEST ZAWSZE I KUPUJE ZAWSZE.

MECENASEM TYM JEST PAŃSTWO, A ŚCISLEJ MIN. KULTURY I SZTUKI, A JESZCZE DOKŁADNIEJ — JEŚLI MÓWIC BĘDZIEMY O ŁODZI — KOMISJA ZŁOŻONA Z KILKU PLASTYKÓW, DYSPONUJĄCA FUNDUSZAMI OWEGO MECENASA.

PONIEWAŻ OGÓŁ NIE BARDZO ORIENTUJE SIĘ W PROCEDURZE ZAKUPU I CO WAŻNIEJSZE — W DALESZYCH LOSACH ZAKUPIONYCH DZIEŁ, OŚWIECIMY TENIE OGÓŁ ZA POMOCĄ NIEZWYKLE PROSTEJ METODY PYTAŃ I ODPOWIEDZI.



CO DZIEJE SIĘ Z ZAKUPIONYM OBRAZEM?

Otóż nie jedzie on, jak można by przypuszczać, do Warszawy, lecz zostaje zamknięty — czyli uwieczony — w magazynach Centralnego Biura Wystaw Artystycznych w Łodzi. W tychże magazynach obraz leży depoty, dopóki nie wyolgnie się go z zapomnienia i nie wysle do Łęczycy czy Nowego Miasta. Tam będzie on eksponowany na tak zwanej wystawie depozytów. Ale takie światło nieczęsto się zdarza. W roku 1957 było tego rodzaju wystaw cztery. W roku 1958 dwie. W planie na rok 1959 — przewidziana jest jedna. I tak to się upowszechnia kulturę plastyczną, tak się pomaga artystom.

Z drugiej strony obrazy zakupione przez Ministerstwo Kultury i Sztuki mogą — a nawet powinny oddawane być w depozyt na „przeróżniejszym instytucjom”.

CZY ABY NIE „LIPA”?

Otóż to. Oddawanie obrazów w depozyt było w swoim czasie bardzo rozsądnym rozwiązaniem sprawy upowszechnienia kultury plastycznej. Obecnie jednak duży procent świetlic przyzakładowych (a obrazy brały w depozyt przeważnie zakłady produkcyjne) zostało zlikwidowanych. Według kwitów depozytowych znajduje się tam około dwustu obrazów. W najlepszym razie wieszają one na ścianach, nieczynnych, zamkniętych na trzy spusty świetlic. Niektóre z nich leżą może gdzieś za szafą. Część (z pewnością niewielka) dostąpiła zaszczytu zdobienia dyrektorskich gabinetów.

Zresztą o nich nikt nie pewnego nie wie, CBWA bowiem nie prowadzi w tym kierunku żadnej kontroli. Bezsprzeczny jest tylko fakt, iż w dziele upowszechnienia biorą owe obrazy udział niewielki. Twórcy nie ma odbiorcy, chociaż pracuje, odbiorca bowiem nie istnieje.

Ostatnio nikt obrazów w depozyt nie bierze Najpóźniejsze daty widniejące na

kwitach depozytowych, to rok 1956. Potem nie ma już nic.

A eksponatów coraz więcej. Na ostatniej XIII Okręgowej Wystawie czcigodny Mecenasa zapłacił za zakupione obrazy nie małą sumę 45.000 złotych. Czy tylko po to, by obrazy te stały w magazynie?

A CO NA TO PLASTYCY?

A jednak stanowisko twórców w tej sprawie cechuje raczej filozoficzny spokój i pogoda. Odnosi się wrażenie, że niezbyt ich dręcza sprawa zmagazynowanych dzieł.

Zresztą, nie dzwignę. Jeśli artysta bardzo na zakupionym przez Mecenasa obrazie zależy, procedura następująca po akcie transakcji wygląda w ten sposób: Ministerstwo wypłaca pieniążki, artysta zabiera obraz do domu, a CBWA otrzymuje od malarza kawałek papieru z napisem o nieskomplikowanej treści: „Ja niżej podpisany XY wypożyczam mój obraz na czas nieokreślony”.

I na tym kończy się rola Mecenasa. Pieniądze zostały wypłacone, budżet miesięczny plastyka poważnie rozszerzony, obraz powrócił do twórcy, a więc do właściciela. Wszyscy są zadowoleni. I tylko ten, dla którego obraz był przeznaczony, odchodzi smutny. Nie pozostało mu bowiem do zrobienia nic innego, jak nabyć wspomnianego płótna, na którym jeleni schodzi ku źródłu. I oto on, odbiorca, prawowity właściciel dzieła współczesnego malarstwa, staje się także mecenasem. Mecenasek prywatnego hand-

larza z Zielonego Rynku. Brawo, tylko tak dłużej.

CO PAN NA TO, MECENASIE?

Mam pewien projekt. Niech zakup nie nazywa się zakupem (ze wszystkimi jego konsekwencjami) lecz niech nosi miano wyróżnienia.

Będzie to nawet nieźle brzmiało: „Ministerstwo Kultury i Sztuki wyróżnia obraz pana XY eksponowany na wystawie Okręgowej w roku tym, a tym”. Stwierdzeniu niechaj towarzyszy wypłacenie odpowiedniej (jak poprzednio) sumy złotych polskich.

Co jakiś czas (np. co pół roku) można by na owe wyróżnione obrazy urządzać przetargi. Rzecz prosta, cena wywoławcza byłaby bardziej dostosowana do możliwości prywatnego odbiorcy. Jest przecież rzeczą co najmniej oczywistą, że obecne (oficjalne) ceny obrazów wahające się w granicach dwóch — trzech tysięcy złotych — może płacić jedynie tak bogaty i hojny Mecenasa, jak Państwo.

Natomiast po zmianie całego dotychczasowego systemu, zwanego w skrócie „zakupami Ministerstwa”, dzieła sztuki mogłyby dotrzeć, jeśli już nie pod przysłówkowe „strzechy”, to przynajmniej na ściany mieszkań ludzi nie najzamożniejszych, a w malarstwie rozmownych. Może po paru latach podobnej działalności przerażający „Jeleni na rykowisku” byłby takim unikatem w przeciętnym mieszkaniu, jak obecnie obraz z prawdziwego zdarzenia. Czego wszystkim i sobie życzy.

ANKIETA o TEATRZE NOWYM

(Dokończenie ze str. 1)

sta, a nieraz także „potępieniec swary” rodaków nie ułatwiają w stolicy twórczego działania. Odpowiedzialność tu większa, intruzi, podjadcy częstsze, wiele spraw odwraca uwagę od głównego zadania dyrektora teatru, zespoły mniej zdyscyplinowane i aktorzy porównywalni nazbyt często przez radio, telewizję i film. Doświadczenie z Dąbrowskim jest tu zresztą bardzo pouczające. W Krakowie był świetnym dyrektorem Teatru im. Słowackiego. Powołano go na stanowisko dyrektora Teatru Polskiego. Borykał się przez kilka lat z ogromnymi trudnościami, ale nigdy nie czuł się w Warszawie naprawdę dobrze. Aktorzy „zasiedziali” traktowali go zresztą zawsze trochę jak parweniusza, który przyjechał z „prowincji” i chce nimi, „aktorami warszawskimi”, kierować. Toteż, kiedy po kilku latach wrócił od Krakowa, poczuł się tam od razu lepiej i bardzo dobrze prowadził swój Teatr im. Słowackiego, który znał go na wylot, gdzie każdy go szanuje i gdzie może znowu w spokoju tworzyć swe interesujące, a niekiedy wybitne przedstawienia.

Tak więc wypowiadam się bezwzględnie za tym, aby Dejmek został wraz z Teatrem Nowym w Łodzi i był nadal ośrodkiem jej życia kulturalnego, aby nadal Warszawa musiała jeździć do Łodzi, jeśli chce zobaczyć ciekawy spektakl w jego teatrze, lub zapraszać go na występy gościnne do stolicy.

ROMAN SZYDŁOWSKI

Warszawa 20. II. 1959.



O SPRAWACH KONKURSU „WSZYSTKO O MIESZKANIACH”

czytaj na stronie 6

str. 2
odpisy



* Dokończenie ze str. 1 *

ca komendanta MO na Widzewie powiada, że do końca życia chciałby mieć taką służbę. Oczywiście, oczywiście, milicjantowi nawet na spokojnym Widzewie nie grozi bezrobocie. Ostatecznie w 1957 roku zlikwidowano 11 melin pijackich, a w 1958 — bodaj 40. Melina, jak polip, lubi po pewnym czasie odrastać. Może dzieje się tak dlatego, że Widzew ma tylko jedną restaurację. Zupełnie jak w małym miasteczku — jedna knajpa na państwowej ewidencji, reszty, bracie, szukaj.

No, ale uspokoiło się w ostatnich latach. Nikt już na Stokach ludzi nocami nie rozbiera, a to dlatego, że widzewiacy zapalili się do służby w ORMO. To są, bez przesady, pierwsi w całej Łodzi pomocnicy milicji. I jakie tu kraś — powiadają starzy, przedwojenni przestępcy — jak kraś, kiedy wszyscy się znają? Pomysleć tylko! Przecież właśnie na Widzewie działał słynny „ślepy Maks”, który pilnie teraz pamiętniki i szuka wydawcy. Ostatecznie więc, jeśli już komu przypomną się młode lata, robi „skok w bok”, operuje na Chojnach czy Śródmieściu, ale nigdy w macierzystej dzielnicy. Ma się ten honor.

Pamiętacie małe polskie miasteczko? Ze starych rycin, z dzieciństwa, książki, lub ze snów? Pelargonie w oknach, firanczki w kwiatach, za szybą rozmarzona twarz dziecka, napłis nad kuchenką: „dobra gospodni — porządek w domu czyni”? Pamiętacie niedzielne popołudnia? Na ławeczkach, na krzesłach, na wąskich skrawkach murawy, siedzą stary ludzie, kobiety plotkują. Pomiędzy drzewami zaimprowizowana zabawa. „Po błyszczącej trawie, po pachnącej świeżo, chodzą panny ulubione, spódnicami śnieżną”.

Taki mi się wydał Widzew pewnego słonecznego dnia naszej niewydarzonej zimy.

TU SIĘ PRZYKLEPIE,
TAM SIĘ PRZYBIJE

Chodzę sobie po Widzewie, dzień już inny, utkała go zimna mgła, jest więc jakiś nastrój, smutny. Chodzę i

wciąż odkrywam miasteczko. Idę wzdłuż ulicy Rokicińskiej, zaglądam w boczne uliczki — Niska, Głęboka, Sucha, Sarnia, Rуска, Paryska, Kielecka... Uliczki prowadzą donikąd, urywają się nagle, w dali, we mgle majaczą puste, zaśmiecone pole. Tak właśnie niespodziewanie kończą się i zaczynają małe miasteczka. Zaglądam na podwórka. Nie, nie będę ich opisywał.

Warstwę obyczajową Widzewa tworzyły określone warunki. Jest tu coś bardzo wzruszającego — ten osobliwy patriotyzm, przywiązanie do dzielnicy, wzajemna kontrola, zaczerpnięcie i zupełnie nieanonimowy świat sąsiadów, krewnych, ludzi, którzy się znają. Takie światy zanikają powoli pod wpływem nowoczesności. Współczesna cywilizacja miejska drażni tradycyjną obyczajowość, kropla po kropli. Widzew jednak trwa, wciąż jest zamkniętym miasteczkiem. Czemuż to? Czemu tak nieznacznie wchłania go i cywilizuje wielka Łódź?

Pytanie trochę dla prorożki, z ludzi może dla ojców naszego miasta, czy ja zresztą wiem? Widzew zajmuje obszar jednej czwartej Łodzi, dokładniej — 23 procent ogólnej powierzchni miasta. Próbuje tylko przejść do miasteczka od Moskali, przez Sikawę, Stoki, Grynbaach, Widzew-Górkę, Zarzew Augustów aż do Olechowa. Nie starczy czasu na wędrowkę przez kilka miasteczek, osad i wsi. Mieszka tu około 10 tys. ludzi. Wprawdzie na Stokach panuje wprost niebywały urodzaj na dzieci, rekordowy jeśli chodzi o Łódź, liczba ludności Widzewa spada. Ludzie emigrują dlatego, że na Widzewie bleda z mieszkaniem, Widzew dźwizy prym, kiedy mówię o zagęszczeniu, 2,3 osoby na izbę, podczas gdy w Łodzi przeciętna wynosi 1,94. Widzew się rozpada. Stoi tu 70 proc. budynków drewnianych, z nich 80 proc. przeżyło już swój wiek techniczny, lecz musi żyć dalej, jak w małym miasteczku. Tu się przyklepie, tam się przybije, jak w Zapadnikach, jak w Kaczym Dolku i mieszka się dalej. Tylko proporcje nie te same. olbrzymie, niepokojące. Widzew wydaje około 10 milionów złotych na remonty coroczne na

MAŁE MIASTECZKO — WIDZEW

kunitzerowskim osiedlu wynoszą 75 proc. wartości domów. I tak każdego roku pod bokiem Wielkiej Łodzi.

Dzień się zaciera, kontury domków tracą ostrość, domki skapane w mleku są miłe, przypominają dziecięce zabawki. „O siwa mgła! O srebrna mgła! O mgła bez końca! Jakbym przez zadyrmione szkła przyglądał się zaćmieniu słońca...”

Siedzę teraz w niewielkim pokoju, w parterowym białym domu, pomiędzy kościołem i siedzibą partii, przez ściany z Komendą MO. Wiceprzewodniczący widzewskiej Rady Narodowej, ob. Laszczyk, klnie na gripę, laska pigułek, pości się trochę i wyrzuca z siebie „dane” jak precyzyjna maszyna. Z pamięci, tylko go pytał o co chce. Ma głowę, szkoda gadać.

— Zgadza się, redaktorze, to jest miasteczko. Na 180 ulic, będzie 85 oświetlonych, o takich luksusach jak bruk i chodniki lepiej nie mówić. Wysiadam przy Garwolińskiej. Jedno kino na całą dzielnicę, jedna knajpa i ani jednego baru mlecznego, domu kultury, kwaciarni czy przystranku taksówek. Poszukajcie, redaktorze, chociaż jednego sklepu spożywczego, albo masarni na Zarzewiu, albo poszukajcie u nas kaszanki, „czarnego” albo podgardlanej. Sto złotych daję. A jak wam się uda przekonać MHD, że Widzew to też Łódź — macie u mnie tysiąc złotych. Przy świadkach! Spytajcie ich przy okazji na jakiego świętego będzie otwarcie tych zamurowanych sklepów w blokach naprzeciw Zróżniska. Na święty — nigdy, ja wam to mówię.

PIERWSZE KOTY ZA PLOTY...

Chodzę sobie po Widzewie, znowu mamy inny dzień. Lekki, pastelowy, przyprószone słonecznym pyłem. Jest jeszcze dość wcześnie. Obok kina, przed plebanią kobiety w szarych kitlach porządkują trawniki. Rozklejacz afiszów smaruje z nabożeństwem pochylony słup z betonem, oblepiony kolorową reklamą: Lopek Krukowski w Łodzi i „Cudotwórca” w Łodzi, May Britt w Łodzi i „Zakazany owoc” w Łodzi. Daleko stąd, daleko do miasta. Obok słońce rozwesela szeregi drewnianych domów osiedla, murarze pokrzykują za kościołem, budują przychodnię lekarską. „I widać wszystko. A na płocie czerwone wietrzą się poduszki”.

Oglądam wystawę, przedstawia rewolucyjne tradycje Widzewa. Dokumenty, kolorowe plansze, fotografie. Ależ to jest najbardziej łódzka ze wszystkich dzielnic naszego miasta! Ale im bardziej uświadomiam sobie ów najserdeczniejszy, bo podpisany krwią, stosunek dzielnicy do miasta, tym trudniej mi zrozumieć, no, wprost pojąć nie mogę, czemu jest taka zapomniana.

Jeżeli rozbierać domy widzewskie zgodnie z planem, stare, walące się budy, jeżeli nie budować także zgodnie z planem, to ładnych parę tysięcy widzewiaków przeniesie się do miasta. Pięć bez ironii, choć to przecie ogromnie gorzkie, ale perspektywiczny plan rozwoju Łodzi nie wspomina ni

słowem o Widzewie. Co innego na akademiach, tam mają mówcy pełne usta rewolucyjnego Widzewa.

Wystawa mieści się na parterze, na piętrze pracuje pierwszy sekretarz dzielnicy, towarzyszy Promiński, widzewiak ma się rozumieć, i to widzewiak rozpalony do czerwoności, dałby się pokrajać za swoje rodzinne miasteczko. Anim się spostrzegł jak mnie obłożył planami, mapami, wykresami, furą wniosków i sprawozdań.

— Co było to było! Już poszły pierwsze koty za płaty. Włókna sztuczne wybudowały blok na Armii Czerwonej, majstrują drugi na Zbiorczej, 1 Maja stawia już drugi blok, buduje Hanka Sawicka, rusza spółdzielczość, ale najważniejszy jest generalny plan. Też rusza. Trzeba znowu zrobić rewolucję na Widzewie, towarzyszu, taką pokojową z kuchnią.

Fachowiec ze mnie nietęgi, z trudem ogarniałem całość wielkiego planu przebudowy Widzewa. Oczywiście, plan zmaistrowali widzewiacy, plan już zaakceptowany, a zmaistrowali sami, gdyż nasi planiści zapatrzeni są na zachód, znaczy — na zachodnią część Łodzi, a Widzew, najwyżej położona w mieście dzielnica, a Widzew, ponad którym wchodzi słońce? Ile tu miejsca na całe zespoły mieszkalne! Wzdłuż toru, w rejonie Konstytucyjnej i nawet przy Armii Czerwonej. Plany, plany zielone od parków, trawników, złote od bloków, poprzecinane czerwonymi liniami tramwajów i autobusów.

— Będzie się budować, już się buduje — sekretarz pokazuje mi te plany i zachwala niczym zakochana matka sąsiadom świeżo narodzone niemowlę. Jakie kołchane, jakie piękne, zdrowe, wesole, co? Wykapany tatąś z mamusią, widzewskie dziecko.

GOMÓŁKA ZŁAPAŁ SIĘ ZA GŁOWĘ...

Chodzę sobie po Widzewie, dzień wygląda jak mleczna kula, ale mgła jest ciepła, przytulna, intymna. Włóżyć w te plany czy nie wierzyć? Promiński ma ogień w oczach. Ale, czy naprawdę wierzyć, że małe miasteczko Widzew będzie wreszcie nierozdzielalną częścią Wielkiej Łodzi?

I oto siedzę poniżej ziemi, w suterenie przy ulicy Niskiej. Okno wychodzi na zątechle podwórze. A na podwórzu pod zgrzybiałą komórką majstruje stary człowiek. Także widzewiak, postać skądś znana, bliska. Robotnik na emeryturze — do końca życia nie rzuci pracy. Będzie reperował stare graty, naprawiał mechanizmy, latał dach, budował kurniki.

Drzwi pokoiku są otwarte przez cały dzień, inczej prac nie można. Całe to mieszkanie liczy 11 metrów kwadratowych. Zadymi się, zaparuje, wilgoć i tak spływa kropkami z sufitu. Małeńkie, blade dziecko śpi na kanapie. Szafa, stół, łóżko, kredens, kuchnia wypełniają pokój tak szczelnie, że nie ma się gdzie obrócić. Pani Jezierska pierze, mówięm to już chyba, pani Jezierski, robotnik z Niciarki, trzyma

drugie dziecko na kolanach. Z korytarza biją zapachy przegniłych odpadków — ziemniaków, kapusty, podwórze też nie pachnie.

Czy ja wierzę w realizację planu przebudowy miasteczka w część dużego miasta? To nie takie ważne. Ważne jest, co o tym sądzi Zenon Jezierski.

— Rusza się coś — mówi — pan wie co powiedział Gomółka zaraz jak tylko wyszedł z Wimy?

— Nie mam pojęcia.
— Za głowę się złapał. Ludzie, powiedział, a czemuż wy do wielkiej Aniutki nie budujecie? Inspekcja też była, miejscowa.

O tej inspekcji słyszałem i w tramwaju, że „szefowa” i „pan prezydent” pomogli „przepechnąć” plan przebudowy Widzewa. Tym razem droga do miasta nie wydawała mi się taka długa. Ale to może tylko takie osobiste wrażenie, natomiast sprawa wiary, przekonanie, że „coś się ruszyło” na Widzewie staje się powszechne.

I nie przypadkiem zbiega się to przekonanie z III Zjazdem. Powiem więcej — stanowi jego idąc od dołu, od prostych ludzi, atmosferę.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Foto: Wacław Biliński



MAŁE MIASTECZKO — WIDZEW

Operacja „MERKURY“

(IV)

Tak się przegrywa wojnę. Tam, gdzie nie wchodzi w rachubę zwykła zdrada — a wszak o tym w Grecji z całą pewnością mówić nie można — szybkie przegrywanie wojny jest sztuką samą w sobie. To brzmi jak złośliwa ironia. Cóż, kiedy historia zanotowała wiele faktów, gdzie zbrojny trud i najlepsza wola wodzów prowadziły prostą drogą do klęski. Wybór każdej innej drogi, pozornie ryzykowniejszej, mógł popłatać butnemu przeciwnikowi plany i wydrzeć mu szybki sukces. Ale ta jedna bywała właśnie tak oczywiście pewna...

Z wielu możliwości korpus angielski wybrał najgorszą — odwrót do Przełęczy Termopilejskiej.

— Nas obowiązuje przede wszystkim prawo zachowania siły — pułkownik Compton przerwał i starannie smakował łk bawarki — unikanie starcia z przeciwnikiem, gdy on ma jeszcze rozmach, to wielka umiejętność... Ale, dlaczego pan stoi, majorze? Proszę usiąść.

Balagos przycupnął na skraju krzesła. Pod czaszką kłębiły mu się najgorsze przeczuć. Główna linia zaopatrzenia armii Epiru — z Kalabaka przez Metsovon — była tak intensywnie bombardowana, że transport mógł się odbywać tylko w ciągu kilku godzin nocą. A tu ten ciągły odwrót Brytyjczyków...

— General Papagos polecił mi jednak, aby skłonić panów do wszechstronnego rozpatrzenia koncepcji tego odwrotu. Obsadzenie Przełęczy Termopilejskiej już teraz może się okazać fatalną pomyłką. — Balagos uniósł się na krześle, jego głos przeszedł w świs. — Panowie rozwiązują Listowi ręce, zwalniają wszystkie jego operacyjne rezerwy!

— Pan żartuje, majorze! — Zareczam, żarty są mi jak najbardziej obce... — Przepraszam. Ja oczywiście nie w tym sensie.

Rozumiem powagę sytuacji. Ale korpus nasz nie może być zawieszony w próżni i tym samym skazany na oskrzydlenie. Przecież generał Papagos nie dysponuje w tej chwili żadną poważną siłą, o którą moglibyśmy się oprzeć. Musimy szukać oparcia w terenie...

— Jak to? Ja bardzo przepraszam, ale nie może pan przecież nie dostrzegać czterech dywizji w Epirze. Nam chodzi tylko o zsynchronizowanie odwrotu obu armii. Tymczasem panowie wycofują się tak szybko, że to odsłania definitywnie nasze prawe skrzydło.

— Wasze prawe skrzydło opiera się mocno o góry.

— Ale w tych górach są przełęcze. Mając panów na prawym skrzydle nie przewidywalimy stamtąd ataku. Teraz taką lukę można wypełnić tylko jednostkami zmotoryzowanymi. I trzeba najprzód mieć te jednostki zmotoryzowane...

— Jestem związany ostateczną decyzją generała Wilsona. Korpus jest w odwrocie, ponieważ nie możemy dopuścić do oskrzydlenia.

— Panom nie grozi oskrzydlenie! To nam ono grozi. Cztery dni temu można było mieć wątpliwości, czy manewr monastyrski Listy jest wymierzony przeciwko panom, czy przeciwko armii Epiru. Dziś jest jasne, że manewr był przeciwko nam.

— Nic pana nie upoważnia do twierdzenia, że to jest takie pewne. Przeciwnik zawsze zmierza do zniszczenia podstawowej ruchowej rezerwy. Zawsze! Taką rezerwą jest właśnie nasz korpus. Armia Epiru nie może stanowić celu ich manewru, ponieważ sama uwiłkła jest w walce z Włochami. Upadek Kalabaka w równym stopniu zagraża waszym jak i naszym skrzydłom. General Wilson uważa zresztą, że armia Epiru powinna już podjąć odwrót. W tej sprawie były przekazane sugestie generałowi Papagosowi.

— Co mam odpowiedzieć

mojemu zwierzchnikowi? — Jestem głęboko przekonany — Compton przyjął ton wysoce oficjalny — że siły zbrojne Jego Królewskiej Mości dadzą Listowi należyłą odpłatę i ocalą niepodległość Grecji.

Czołgi prą naprzód. Teraz już trochę wolniej — teren jest dziki, odludny. Gąsienice buksują na oсыпiskach głazów, drogę wyszukuje się raczej intuicją niż wzrokiem. Kolumny ciężarówek stają bezzadnie przed wezbranymi potokami górskimi. Saperzy mają pełne ręce roboty — wysadzają przeszkody, budują mosty, zasypują dziury w drogach. 12 armia posuwa się z szybkością 20 kilometrów dziennie.

Marszałek List niepokoi się — za wolno to idzie. Cenna jest każda godzina. Grecy nie mogą wyminąć się z Epiru. Wczoraj meldował wywiad, że Papagos jest świadom niebezpieczeństwa i podjął decyzję generalnego odwrotu z Albanii. List wzywa jednego z najbardziej swoich oficerów — pułkownika-czołgistę Stumme'a. Poleca mu zmontować silną grupę uderzeniową: 150 czołgów i 5 tys. piechoty na opancerzonych transportowcach oraz zmocnione oddziały saperów i pionierów szturmowych z miotaczami płomieni. Wszystkiego razem niewiele więcej niż pół liniowej dywizji, ale grupa ma ogromną siłę ognia i dużą szybkość. „Iść naprzód bez względu na to, co się będzie działo z boków i z tyłu. Pana troska — mówi List do Stumme'a — to szybkość chwycenia Metsovon. Reszta należy do mnie”.

Wzdłuż trasy natarcia lądują spadochroniarze. Umacniają się na małych łąkach, przygotowują polowe punkty zaopatrzenia. W ślad za nimi siadają trzymotorowe „Ju-52”, wyładują kapniestry z ropą, skrzynie amunicji. W zaopatrzeniu nie może być chwili przerwy.

16 kwietnia pod wieczór



czołgi zbliżają się do Metsovon. Tu tętni puls życiodajnej arterii armii Epiru. Grecy bronią rozpaczliwie dostępu do miasteczka. Stumme naciera z furją. Walka trwa całą noc. Jest tak zacięta, że kilkakrotnie dochodzi do starć wręcz. Rankiem Metsovon jest w rękach Niemców, ale 80 czołgów Stumme'a dymi na polach. Niemcy przechodzą do obrony. W czołgach kończy się amunicja, brak paliwa. Z gór spływają świeże oddziały Greków. Kryzys natarcia...

Walka o Metsovon trwa już drugą dobę. Stumme liczy minuty do całkowitego wyczerpania się amunicji. Główne siły Listy powinny już być — harmonogram przewidywał ich nadejście w 18 godzin po chwyceniu miasteczka, a tu już mija trzynaście godzin samotnej walki. Coś się zaczęło w precyzyjnej maszynie — myśli Stumme. Pod wieczór część

czołgów ostatecznie przestaje strzelać, ale i okrwawione brygady greckie nie są zdolne do dalszej walki.

General Tekesalis postanowił zrezygnować z Metsovon i skierować odwrót wzdłuż zachodnich stoków gór Pindus, poprzestając na obsadzeniu przełęczy. To nie takie proste! Żołnierze są zmęczeni, usypiają w marszu. Dywizję pierwszego rzutu nie mogą się oderwać od Włochów. Włosi nabierają animuszu, atakują na całym froncie od Korca do Cieśniny Otranto. Nad armią Epiru zawisa katastrofa.

18 kwietnia rankiem dochodzą do Metsovon główne siły Listy. Włączają się od razu do akcji dwie brygady zmotoryzowanych strzelców górskich i brygada lekkich czołgów. Po trzygodzinnej walce zostaje sforsowana przełęcz między grzbietami gór Boin i Pindus. Wąską gardzielą przewala się strumień czołgów i samochodów

pancernych. Tego uderzenia Grecy nie są już w stanie zatrzymać. Czołgi sieją płochę na zakorkowanych taborami drogach. Wybuchają paniki.

19 kwietnia rano sytuacja jest jasna. Główne siły greckie znajdują się w zupełnym okrążeniu. Pancerny młot Listy rozdziela się teraz na dwie części. Jednostki zmobilizowane kierują się na południe i rozbijają w szybkim marszu te nieliczne oddziały greckie, które zdołały się wycofać. Reszta zaciska pierścień okrążenia. Jest jeszcze nikiel cien nadziei — morze. Stamtąd powinna nadejść na odsiecz flota angielska, osłonić ewakuację. Ale flota nie nadchodzi. Oslania korpusu Wilsona, którego obserwatorzy z Przełęczy Termopilejskiej daremnie wypatrują Niemców na dalekim przedpolu.

A więc — kapitulacja. Czternaście dywizji greckich w Epirze składa broń.

(d. c. n.)

EDWARD-EMSKI

Pustynne szczyty



Jeep majora Popskiego zbliża się do ostatniego zakrętu przed posterunkiem Sidi Raul. Raptem zaczyna się — kilka karabinów maszynowych otwiera ogień, pociski świetlnie lecą na wszystkie strony. Zjeżdżają z drogi, wleagają wóz na skarpę — lepiej uniknąć nieporozumień, jeśli to nadciąga szwadron.

Po chwili na zakręcie pojawia się samochód. Major Popski daje sygnały latarką — tak, to szwadron, w pierwszym wozie major Easonsmith. Wyruszyli później, niż to było w planie, czekali, aż zrobi się zupełnie ciemno. Poza tym wszystko w porządku. Posterunek w Sidi Rauli był obsadzony, zatrzymał ich wartownik, którego major z miejsca rozbroił i wziął do niewoli. Złaził się oficer włoski i został zastrzelony. Otworzyli potem ogień do budynków koszarowych, zniszczyli telefony. Jęniec zaczyna teraz, że w obóz była również radiostacja — major Easonsmith nie zauważył jej, pozostała nienaruszona.

Dwa samochody szwadronu zderzyły się w Sidi Rauli i

trzeba było je porzucić. Pozostało trzynaście wozów i w tym składzie szwadron osiąga Sidi Selim.

W Sidi Selim Arabów wysłanych na rozpoznanie do Barce nie ma. Major Popski daremnie powtarza w nieskoczoność krzyk sowy Buma — żadnej odpowiedzi. Dochodzi godzina 22.00.

O dziesiątej ruszamy — mówi major Easonsmith — nie ma co dłużej czekać. W pierwszym wozie ja, w następnym major Popski, potem reszta patrolu gwardii i na końcu patrol nowozelandzki. Wóz radiowy patrolu nowozelandzkiego i doktor zostają tu, przy grobowcu.

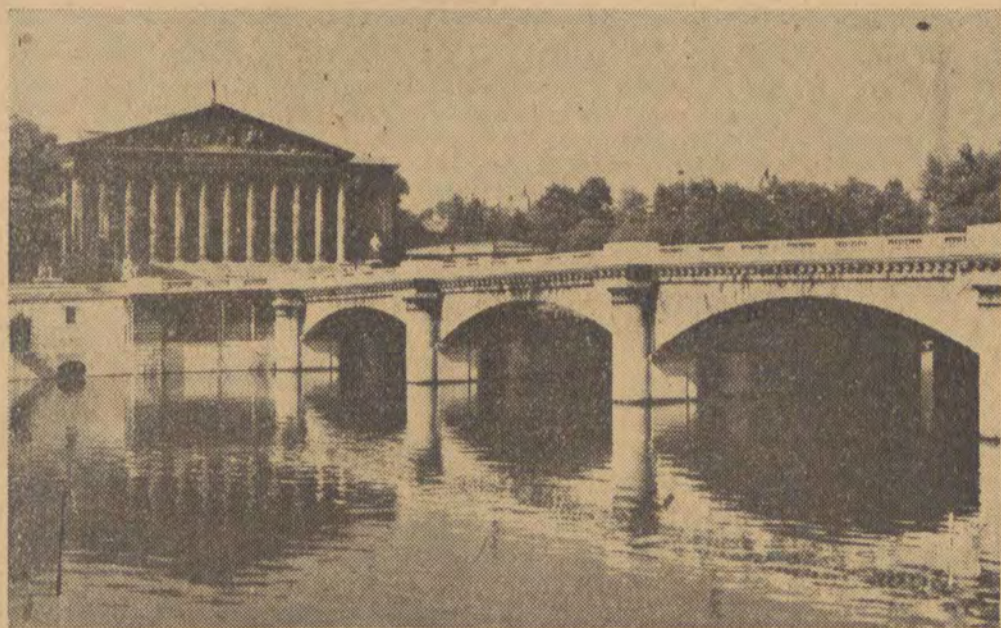
Trasa szwadronu prowadzi drogą idącą z Dzerdes el Abid, która wychodzi na szosę Derna — Barce o dziesięć kilometrów od Barce. W ciemności major Easonsmith zjeżdża z drogi. Zapala reflektory — jakiś ogród, samochód wywala drewnianą furtkę — jednopiętrowy betonowy dom, przerażeni ludzie wyskakują przez okna na parterze. Reflektory gasną, znów zupełna ciemność, wozy jadą po grzędach, skrę-

cą ostro w lewo, znów są na drodze.

Szwadron wydołuje się na szosę Derna — Barce. Tu wszystkie wozy zapalają reflektory. Konwoje niemieckowłoskie jeżdżą przy zapalonych światłach, kolonna bez świateł wydłubiła się podejrzana. Szosa ostrym serpentynami schodzi w dół, już są na równinie, tu szosa biegnie prosto jak strzeliła, po niewysokim nasypie. Wozy zwiększają szybkość i odstęp. Światła pierwszego wozu — majora Easonsmitha — wycinają z nieprzełkniętego mroku przed nimi niewielki, szybko przesuwaający się skrawek jasności. W pewnej chwili skrawek ten ogarnia dwa czołgi — po jednym z każdej strony szosy.

Wycie syreny, śmiech szakala, wrzask potępieńców? Nie, to saksofon sławy sezonu w najmłodniejszym, niedawno otwartym lokalu nocnym Kairu — Ambassadors. Tańczących ogarnia szal. Drgawki epileptyków, konwulsje porażonego prądem, ruchy skorpionia dokola którego zaciska się pierścień płomieni —

(Dalszy ciąg na str. 10)



Most de la Concorde

MARIAN PIECHAL

Nasi emigranci

Chodzi tutaj nie o uroki czyli powaby Paryża, ale o jego urok czy też uroczność w znaczeniu uroczenia, zaczarowania, zaklęcia, zasugerowania. Można by to porównać z pewnym rodzajem psychicznego zatrucia czy też odmianną, że tak powiem, duchowego opium, jakiejś dosłownie siły fatalnej, jaką Paryż wydziela z siebie, zaczadza nią i obezwładnia wszystkich, którzy w nim osiadają na dłużej, a zwłaszcza nas, Polaków.

My, Polacy, jesteśmy właśnie najmniej odporni na tę uroczną i urokliwą siłę fatalną Paryża i w ogóle wszy

skiego, co francuskie. I dzieje się to nie od dziś. Już poeci i publicyści staliślawowscy spostrzegli to i przestrzegali przed tym. Adam Mickiewicz drwił z te-

go nie tylko w „Panu Tadeuszu”: „Bo Paryż częstą modą odmianą się chlubi, a co Francuz wymyśli, to Polak polubi”. Otóż o tym właśnie nie chcę powiedzieć, o tej małej na ogół odporności Polaków wobec uroków zagranicy, a zwłaszcza Francji, a już szczególnie Paryża. To znaczy, że Polacy się tam zbyt łatwo i zbyt przedko wynaradawiają.

Większość Polaków we Francji, to tam, urodzeni w pierwszym lub drugim pokoleniu i ci uważają się już poniekąd za autochtonów, aczkolwiek zawsze z sentymentem, nierzadko z lęką w oku, wspominają o Polsce, dla której są już na pewno i bezpowrotnie straceni. Trudno, z tym trzeba się pogodzić. Ale gorzej, że podobnie dzieje się z Polakami, którzy wyemigrowali do

Francji przed kilkudziesięciu czy nawet kilkunastu laty. Nie mówię tutaj o emigrantach politycznych, to rzecz zrozumiała, ich zresztą jest stosunkowo niewielka garstka wobec ogromnej większości naszych rodaków, których do Francji wygnała przed kilkudziesięciu laty bądź zwyczajna niedza, bądź chęć poprawy bytu, lepszego zarobku, a nawet zwykły czar egzotyki, inności, odmiana życia czyli ten właśnie urok albo siła fatalna zagranicy.

I dzieje się tak na wszystkich szczeblach drabiny społecznej naszej emigracji, której podstawową warstwą jest jednak proletariat fabryczny i robotnik rolny. W cieniutkiej warstewce inteligencji polskiej we Francji odporność na ten urok jest nieco silniejsza, ale w osta-

tecznym rezultacie działa on w sposób taki sam jak w całej naszej emigracji. Na przykład, znam pewnego literata polskiego od czterdziestu blisko lat osiadłego w Paryżu, którego dom był ostoją polskości i patriotyzmu. Dwaj jego synowie, wychowywani w atmosferze kultu dla Polski, kończyli jednak średnie i wyższe zakłady naukowe w Paryżu. W roku 1939 zgłosili się do służby w armii polskiej, przebyli kampanię wrześniową w Polsce, następnie walczyli w formacjach polskich we Francji potem w Anglii i na Bliskim Wschodzie, a następnie w Włoszech i znów, na zakończenie, we Francji. Po zakończeniu wojny, chociaż mogli, nie powrócili jednak do Polski, bynajmniej nie ze względów politycznych, lecz najzwyczajniej życiowych: nie mogliby — powiadają — nigdzie żyć poza Francją. Oczywiście znają, kochają, robią wszystko dla niej, co mogą, gotowi życie oddać dla niej, czego dowiedli podczas wojny — ale żyć wolą we Francji. Ich dzieci będą już urodzonymi Francuzami, aczkolwiek pochodzenia polskiego.

Nie inaczej dzieje się w warstwach robotniczych, a raczej nieporównanie gorzej. Tam zaraz w pierwszym pokoleniu dzieci najczęściej się wynaradawiają. Rodzice tę-



Plac de la Concorde



Aleja Opery



Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego pod redakcją HENRYKA ANDERSA

W 8 (465) numerze „Nowej Kultury” Aleksander Wallis zamieścił interesujący artykuł o warunkach bytu i pracy artystów malarzy, rzeźbiarzy i grafików w Polsce. Autor omówił i zanalizował niektóre dane ankiety, jaką przeprowadził w roku ubiegłym Zakład Socjologii PAN. Artykuł ów pragnąłbym pokrótce zreferować.

Z 3033 członków wspomnianych trzech sekcji Związku Plastyków na ankietę odpowiedziało wyczerpująco 1072 ze wszystkich oddziałów i ze wszystkich grup wieku — od najstarszych po debiutantów z lat 1955/57. Dane nie są więc pełne, ale dla zilustrowania sytuacji raczej wystarczające.

Z czego żyją plastycy? Z wymienionych 1072 osób — 427 posiada stałą pracę etatową, z tego 276 w szkolnictwie, 103 w innych zawodach związanych z plastyką, 48 w zawodach absolutnie ze sztuka niezwiązanych. W latach 1955-1957 ze stypendiów twórczych korzystało 336 osób: 154 plastyków otrzymywało je przez 1 kwartał, 47 — dłużej niż przez rok. W latach 1944-1957 aż 247 artystów zajmowało się dorywczo pracami chałupniczymi na zlecenie przedsiębiorstw artystycznych lub zakładów

prywatnych. W ciągu tychże 13 lat 350 plastyków wykonało pewną ilość prac z zakresu wystawiennictwa. Znacząco większa liczba osób, a raczej nawet duża (niestety, nie podano dokładniejszych wskaźników) uprawiała — oczywiście również dorywczo — różnego typu grafikę użytkową.

Znamienne są cyfry dotyczące zbytu normalnej produkcji artystycznej — zasadniczej działalności twórczej każdego artysty. Otóż w ciągu ośmiu lat z 681 malarzy objętych ankietą 96 nie sprzedało ani jednego obrazu, 182 sprzedało mniej niż jeden obraz na dwa lata, 105 mniej niż jeden obraz rocznie; w zamian 7 malarzy sprzedało ponad 100 obrazów, a 2 — ponad 200. Z 156 rzeźbiarzy nie sprzedało 20, 45 sprzedało mniej niż 6, 31 mniej niż 13 prac, a tylko 3 sprzedawało ponad 3 prace rocznie. Nielepiej było z grafikami: na 235 — 69 nie sprzedało nic, a 44 sprzedało od 1 do 15 prac w ciągu całego omawianego okresu. Około 20 artystów sprzedawało powyżej 1 pracy miesięcznie.

Kim byli odbiorcy? Wbrew przypuszczeniom okazuje się, że Ministerstwo Kultury i Sztuki znalazło się dopiero

na drugim miejscu. Zakupiło ono 24% całej puli malarstwa, 20% — rzeźby i tylko 7,5% — grafiki. Obrazów kupili najczęściej odbiorcy prywatni, bo aż 31% bezpośrednio u artystów i część poprzez sklepy „Desy”. Można też mniemać, że podobnie było z grafiką. Wprawdzie bezpośrednio klienci prywatni nabyli tylko 12%, ale którym — według ich największymi odbiorcami „Desy”, która rozprowadzała aż 39%. Najwięcej, bo 23%, rzeźby zakupiły organizacje kościelne.

Badania nie dotyczyły dochodu poszczególnych plastyków i autor powstrzymuje się od wszelkich na ten temat komentarzy. Dla jasności obrazu warto jednak dorzucić parę cyferek. Według cennika obraz kosztuje od 1200 do 3600 złotych, z tym, że za dzieło wybitne płać się i potrójną cenę, ale bywa, że malarz przyćmięty potrzebą sprzeda dobrą pracę za grosze. Ponieważ większość odbiorców stanowią osoby prywatne, w rachubę wchodzi raczej ceny niższe. Liczym, że malarz sprzedaje 2 obrazy rocznie, w ankiecie było takich około 100, a cena przeciętna obrazu wynosi aż 3000 złotych. Suma, którą osiągnął, jest dopiero przychodem brutto. Rzeźbiarzy, którzy mogli osiągnąć podobne zyski, sprzedając po 1 pracy rocznie, ankieta naliczyła 8. Jak już wskazywałem większość prosperowała gorzej. Najgorzej zaś było z grafikami, bo do owej sumy 6000 złotych zbliżali się dopiero ci najszczęśliwsi.

Jak widać, dość jałowa to gleba, na której kwitnie nasza polska sztuka.

sknią do Polski, ale dzieci, dorastając, żenią się z autochtonami i uważają się za Francuzów pochodzenia polskiego, którego to pochodzenia można się nie wstydzic, ale którym — według ich mniemania — nie ma co zresztą tak bardzo się szczyć.

Ktoś może powiedzieć tak: dobrze, to przecież zupełnie zrozumiałe, skoro Polacy we Francji mieszkają w rozproszeniu, otoczeni morzem francuszczyzny. Sęk w tym, że tak nie jest. Polacy mieszkają na ogół we Francji w mniejszych lub większych skupiskach, gdzie możliwe jest założenie polskiej biblioteki, sprawadzenie polskiej książki, zaprenumerowanie polskiego czasopisma, słuchanie polskich audycji radiowych. Na przykład, mieszkałem ostatnio w Domont, miejscowości podparyskiej, której nową willową dzielnicę zamieszkują w znacznej części Polacy, przedwojenni emigranci przeważnie z warstw robotniczych i chłopskich. Większość to robotnicy fizyczni, niewykwalifikowani, nieliczni z nich to drobni rzemieślnicy — wszyscy prawie dojeżdżający co dzień do zakładów pracy w Paryżu. Dobrze sytuowani, posiadający własne, nowocześnie, dostatnie domki i wille z ogródkami, nierzadko własne samochody, zawieszający na ścianach obrazy świętych polskich, Kosciuszki, Mickiewicza, Sienkiewicza, haftowane ręcznie zasłony z białym orłem — jednak czytają tylko gazety i czasopisma ilustrowane francuskie, słuchają radia tylko francuskiego, chwalać wszystko, co francuskie,

nielewkie pod tym względem bardziej szowinistyczni niż Francuzi sami, dzieci posyłają do szkół francuskich, choć mogliby otworzyć, bo stać ich na to, i prawo francuskie na to pozwala, własną polską szkołę. Ale nie chcą. I dzieci im w oczach francuskiej. I oni biadają nad tym, boją się, narzekają na słabą odporność wobec francuszczyzny własnych dzieci, ale nie nie robią, żeby temu zapobiec. A dzieci nie tylko w szkole, na ulicy wśród Francuzów, ale i coraz częściej w domu zaczynają nie tylko między sobą mówić po francusku, ale i do rodziców. I, o zgrozo, rodzice zaczynają odpowiadać po francusku, przyzwyczajają się nieznacznie pod wpływem swych dzieci do rozmowy między sobą po francusku — słowem francuszczyją pod wpływem własnych, rodzonych dzieci, które w dalszej ewolucji stają się zupełnymi Francuzami, bo przecież urodzonymi już we Francji, wychowanymi we Francji, wrośniętymi we Francję, w jej kulturę, cywilizację, obyczaj, historię. Są straceni dla Polski nieodwołalnie i na zawsze.

Przykre to sprawy dla nas, powiedziałbym, tragiczne przykre i trudno o nich nie mówić dlatego tylko, że przykre. Czym to wytłumaczyć? Sądzę, że przyczyna tego faktu, bardzo dla nas niekorzystnego, leży w naturze naszego charakteru, w obiektywnie dodatniej zdolności łatwego przystosowania się do nowych warunków życia i otoczenia. Świadczy to o zdrowej tężyznie biologicznej naszego narodu, mniej

o sile odpornej jego świadomości kulturalnej.

Ten stan rzeczy pogarsza jeszcze bardziej zupełne rozbieżności, chaos i marazm polityczny wśród inteligencji polskiej na emigracji. Jak dotychczas, niestety, reakcja i wsteczność świącą największe swoje triumfy i sukcesy wśród większości emigracyjnego świata pracy. Nie chodzi mi bynajmniej o to, żeby wszyscy naraz i zaraz mieli się deklarować za komunizm lub choćby za formą demokracji ludowej, ale o to, żeby mniej byli podatni na sugestie ciemnogrodu, dla którego sama nazwa socjalizm działa jak czerwona płachta na byka.

No dobrze, zauważy ktoś, ale co robi nasze krajowe przedstawicielstwo wśród emigracji, jak oddziaływa nasze krajowe piśmiennictwo, nasza aktualna twórczość artystyczna, działalność naukowa i publicystyczna, nasza oficjalna propaganda, nasza krajowa misja kulturalna? Jak odczynia ten właśnie zły i tak dla nas, jako narodu, niekorzystny, a nawet wręcz szkodliwy urok Paryża i w ogóle zagranicy?

Ano, trzeba będzie i o tym dla wymiaru pełnej sprawiedliwości napisać specjalnie.



SZLAGier tygodnia

Savoy o godz. 22.30 jest jeszcze pocztową garkuchnią, w której skoczna muzyczka ułatwia się klientom trawienie. Ale już o godzinie 23.00 Savoy zmienia się w co się zowie „jaskinię grzechu”. Panuje gorące podniecenie. Łysiny panów po czterdziestce — a ten typ widza przeważa na sali — poca się i nabierają kolorów. W półmroku, przy świetle barwnych reflektorów pieśniarki wylicza grzeszki kobiet — „oh women, oh women...” — potem iluzjonista wyciąga z rękawa ileś tam metrów confetti. I wreszcie tak oczekiwany strip-tease! Widzowie tłoczą się wokół parkietu na którym taka sobie blondyneczka w imitacji tańca dość skwapliwie odstawia takie sobie wdzięki. Panowie sapią z emocji, panie dostają wypieków. Są przecież świadkami osławionego misterium naszych czasów. Zachłystują

się skondensowaną perwersją made in Paris! Tymczasem szatki opadły, orkiestra zagrała tusz, jakiś pijak wrzasnął — „dziwka pokaż no co jeszcze!”, taka sobie blondyneczka uciekła z parkietu — i zapaliły się światła. Gdyby spytać panów po czterdziestce o wrażenia, zapewne większość przyznałaby się do doznanego zawodu; większość z nich — bądź co bądź — widziała już kiedyś nagą kobietę i przed chwilą odniesione wrażenia nie były znów aż tak silne. Blednie więc jeszcze jedna legenda. Strip-tease o którym się czyta to więcej niż strip-tease, który się ogląda.

Wychodzę z Savoy i rozmyślam sobie o tej imprezie łódzko-częstochowskiej (blondyneczka prezentowała „te rzeczy” przed Łodzią w Częstochowie). Dlaczego wydało mi się, że na parkiecie Savoyu dzieje się coś upokarzającego? Przez chwilę czułem nawet dla tej miłej na oko panienki jakby litość — biedactwo, ma taką poniżającą pracę. A przecież nie mówiam zwyczajnie litować się nad ładnymi pełnoletnimi a lekomyślnymi dziewczętami. Skąd więc takie niemile uczucie? Może sprawił to poziom widowiska, ta „kulturka”, te gesty i okrzyki?

I w ogóle — co z takim strip-teasem dla ubogich robić? Zakazać? Byłaby to decyzja ośmieszająca. Wiele dostrzegac? Ech, na szczęście nie moja w tym głowa; są od tego instytucje i instancje. I co mnie to właściwie obchodzi. Nie będę przecież moralizował a la pani Dulską. Mogę najwyżej bywalcom Savoyu pożyć „Na zdrowie!”...

STEFAN MICHAŁOWSKI

Od tłumacza

Czterej poeci amerykańscy, których wiersze przedstawiam, są reprezentantami trzech pokoleń; więcej — są reprezentantami trzech epok rozwoju wiersza angielskiego. Tak, trzech epok, mimo że daty urodzenia tych poetów nie są znów tak bardzo

od siebie odległe; Wallace Stevens urodził się w r. 1879 (zmarł w 1955), Wiliam Merwin w r. 1927. Różnice poetyckie — i nie tylko poetyckie — są jednak chyba widoczne. Stevens, to przedstawiciel epoki, w której wiersz angielski wyzwala się spod wpływu awangardy francuskiej Shapiro i Schwartz — obaj urodzeni w r. 1913 — to uczniowie W. H. Audena, poeci

usługujący pogodzie klasycznej — formy wiersza z romantycznymi — przynajmniej w polskim znaczeniu tego słowa — treściami wypowiedzi. Merwin nazwijmy — jakże nieprecyzyjnie — neoklasykiem, komentatorem zastanego świata.

Czterej poeci, trzy pokolenia, trzy epoki wiersza. Gdybym przedstawił pięciu lub

sześciu poetów, można by zapewne mówić o pięciu lub sześciu epokach. Naprawdę, zbyt wiele we współczesnej poezji anglosaskiej napotkamy orientacji, zbyt wiele ścierających się kierunków, by jakkolwiek wybiórczo, jakąkolwiek antologią mogła przekazać nam wierny i dokładny obraz rozwoju wiersza angielskiego w XX wieku.

W. S. MERWIN

KOŚCI

Usłyszeć to, co piaski zdają się powiadać,
Gdy wiatr je trąca, nie jest sprawą łatwą.
Potem i tak tych głosów nie wyrażisz słowem,
Ni ich przyczyny nie odgadniesz. Jakże
Różne przedmioty przynoszą obszary przypływu
W przeciągu roku, z gardłowym bulgotem:
Pnie pływające, wodorosty, ciała
Ptaków i ryby, muszle. Przez lata sądziłem
Że muszle nie są kośćmi, być może, z powodu
Dźwięku, który wydają wciąż jeszcze, aczkolwiek
Znałem człowieka, który wydobywał rodzaj
Zawodzącej melodii ze swojego fletu
Zrobionego z piszczela. Rejestr muszli
Całkiem podobnie brzmiał. Gdy muzyk wstrzymywał
Oddech, flet nie grał dalej, wbrew twym przypuszczeniom.
Tego ranka ujrzałem pędzone tu z wrakiem
Coś pokrewnego. Wypadek nie nowy.
Bo pod zieloną boją było stare widmo,
Zniesione tutaj przez ostatni sztorm, lub takie,
Które wyluskał z piaskzystego grobu wielki wiatr.
By to, co pozostało, ukazać: bielone,
Zzute belki, jak zebra człowieka, lub szczeka
Wymarłego zwierzęcia. Dalej w płaskach trwała,
W przyćmionym świetle nie rzucając cienia,
Jego rozbita klatka. Obok siedział człowiek,
Jadł coś i plaża zaśmiecał papierem
I kośćmi jeszcze jednej ryby; nad nim korpus
Starego statku składał puste dłonie. Tylko
My dwaj przyszliśmy tu, na piaski, wiedząc o nich,
A poza nami były same kości, bez względu
Na graną przez nie melodię. Kości rzeczy. Również kości
Mężczyzn. Kości ich usiłowań. Żebra postawione
Między człowiekiem a bezkształtną falą. Potem
Ujrzałem piaski ruszające się jak wody,
Znające sztukę chodzenia. Muszle były po to,
Aby zamykać morze, kości ptaków
Aby nad wodą i w powietrzu nieść się,
A kości ryb zostały obmyślane dla
Głębinnych pastwisk. Lecz po co były kształtowane
Kości człowieka? Po to, aby widział,
Że piaski są tu, by długo słuchał ich, by dał
Kształty rozpostartemu morzu, wagę jego wiatrów,
Szczątki okrętów, by przebłagać piaski morza. A te nie są
Bezbrzeżne. Wiemy, gdzie się kończą.
Chociaż, jakbyś nie patrzył, widzisz, że się ciągną
Dalej, niż człowiek może sięgnąć wzrokiem.

DELMORE SCHWARTZ

POEMAT

O dziecko, kiedy schodzisz z dół, ku prowincjom snu,
Przemieniasz się i mnożysz, stajesz się procesją
Ptaków, zwierząt i drzew; jesteś chorem,
Zrębakim między kołmi, drzewkiem w ciemnych lasach,
Ku niebu podnosisz galezie, okrywasz się liśćmi.
I żyjesz życiem bobra, życiem małych zwierząt,
Rozgrzanych ciepłem słońca, a w czas białej zimy
Spoczywających w głębokim ukryciu.

Wszystko o mieszkaniach

SKRZYŃKA ODPOWIEDZI

Otrzymałmy sporo listów w sprawie regulaminu losowania nagrody specjalnej. Są to listy od Czytelników, którym nie odpowiadały surowe warunki tego regulaminu, a więc listy pełne pretensji, wyrażanych niekiedy w sposób odbiegający daleko od dobrego tonu. Nie zważając na ten ton odpowiadamy.

Kiedy organizowaliśmy konkurs „Wszystko o mieszkaniach”, chcieliśmy się choćby w minimalnej mierze przyczynić do ulżenia ciężkiej sytuacji mieszkaniowej Łodzi. Pragnęliśmy po pierwsze, wskazać drogi wyjścia z impasu mieszkaniowego, rozładować w jakimś stopniu panujące w tej sprawie poczucie bezradności. Nie wiemy, czy ten zamiar osiągnęliśmy, w każdym razie intencje nasze były takie a nie inne. W tym sensie konkurs nasz adresowaliśmy do łodzian — łódzki bowiem przede wszystkim jest problem mieszkaniowy. Pragnęliśmy po drugie, nagrodzić wedle skromnych możliwości tych

Czytelników, którzy wykazali cierpliwość w śledzeniu publikacji i w ten sposób udokumentują swój udział w kształtowaniu racjonalnego poglądu na kwestię mieszkaniową. W tym sensie konkurs traktowaliśmy jako akcję społeczną, a nie jako loterię czy grę liczbową.

Kiedy ustanawialiśmy nagrodę specjalną — mieszkanie — nie wiedzieliśmy, że może to zadrążyć część opinii. Jak to, mieszkanie, rzecz społecznej własności przedmiotem losowania, a więc niejako fantem loteryjnym? Było naszym obowiązkiem oddać wszelkie pomówienia tego typu. Stąd surowy regulamin tej nagrody.

Nagrodzenie wartością ponad 100 tys. złotych w konkursie o celach społecznych nie może być kwestią ślepego trafu. Z drugiej strony nie mogło być też kwestią gabinetowego załatwienia w gronie komisji konkursowej. Nie jesteśmy urzędem kwaterynowym. Stąd mimo wszystko losowanie tej nagrody, ale losowanie z po-

ważnymi ograniczeniami kandydatów.

Ze społecznego punktu widzenia nie jest obojętne, czy nagroda ta przypadnie wielodzietnej rodzinie, gnieźdzącej się od lat w jakiejś klatce, czy też znajdującemu się w tej samej sytuacji człowiekowi samotnemu. Chcielibyśmy i wierzymy, że wola nasza jest najlepsza, aby mieszkanie przypadło jednemu z tych naszych Czytelników i uczestników konkursu, który tego mieszkania rzeczywiście i bardzo potrzebuje. Stąd specjalne wymagania wobec kandydatów do tej nagrody, określone w opublikowanym przed dwoma tygodniami regulaminie, stąd kwestionariusze, a w przyszłości i sprawdzanie danych w tych kwestionariuszach.

Specyficznymi warunkami dopuszczenia do losowania nagrody, ale nie wyobrażamy sobie, ażeby te warunki ze względów życiowych można było stosować w sposób absolutny i sztywny. Może się np. zdarzyć, że ktoś odpowiada wszystkim tym warunkom z wyjątkiem jednego (wypełnił ARKUSZ ZBIORCZY w całości, załączył komplet kolejnych kuponów, jest od dziesięciu lat zameldowany na pobyt stały w Łodzi, dysponuje powierzchnią mieszkalną mniejszą niż 4 m kw na osobę, ale nie pracuje od 3 lat w tym samym zakładzie pracy). W takim przypadku prawem komisji będzie za-

decydować, czy kandydata takiego dopuścić do losowania, czy też nie. Jeżeli okaże się, że ten ktoś co prawda nie pracuje od 3 lat w tym samym zakładzie ma jednak ciągłość pracy, komisja dopuści tego kogoś do losowania. Analogicznie zdarzyć się może, że ktoś odpowiada wszystkim warunkom regulaminu z wyjątkiem punktu C, dotyczącego zamieszkiwania w Łodzi od lat 10. Ten ktoś może na przykład mieszkać lat 9 i sześć miesięcy. W takim przypadku decyzja o dopuszczeniu kandydata będzie leżała w rękach komisji losowania.

Zyciem naszym, a także fundatora nagrody jest, aby bezwzględnie traktować pozostałe punkty regulaminu tzn. aktualne warunki mieszkaniowe kandydata, rodzaj zajmowanego przezeń pomieszczenia i jego zagęszczenie. Ostatni punkt regulaminu dopuszcza możliwość odchylenia od zasady w przypadku niespełnienia tych warunków przez jednego z kandydatów.

Zdajemy sobie sprawę, że wielu Czytelników poczuje się zawiedzionych. Lepiej jednak, żeby zawiedzeni byli np. bezdzietni małżonkowie, ubiegający się o naszą nagrodę, bo mieszkający na 11 m², aniżeli np. rodzina z trojgiem dzieci. Dla zawiedzonych zresztą co do nagrody specjalnej pozostają nienajgorsze nagrody główne i dodatkowe.

Ty śpisz w snu rzecze, niby rzeki
Sekretne bytowanie, niby marynarskie
Żywoty, które wrzeszczą, ślizgając się, płynąc
I upływają szybko, gładko, wartko,
Błysząc, jaśniejąc, tak pogodnie.

KARL SHAPIRO

GEOGRAFOWIE

Do, child, go to it grandam, child,
Give grandam kingdom, and if grandam will
Give it a plum, a cherry, and a fig:
There's a good grandam. — Król Jan.

Czyja jest rzeka, Władco, czyje każde zwierzę,
Czyje groble i kłódki i grzyby, Baronie;
Czyje wizy i czyje mandaty, Kancelerzu;
Czyje księżniczki, Książę; czyja łódź, Charonie?

Te są słuchaj, instrukcje. Trzeba patrzeć w górę,
Czyn poddawać korekcie, na protokół zwać,
Wierzyć w logikę rzeczy i w rzeczy strukturę,
Być posłusznym mieszkańcom małego cmentarza.

Nowy kalamaz, pióro i nowa rycina,
Nowe państwa i znaczki i nowe bandery,
Nowe monety, nowe lampy Aladyna,
Nowe księżycy widać przez nowe kamery.

Czyje piwo w butelkach, czyje kartki z urny,
Czyje wiatry i wiry, czyje jaja złote,
Czyje kucyki, Parze; czyje dni pochmurne,
Czyje lektyki, Pani, gotowe do lotu?

Linia biegnie, jest prosta, wygięta, zębata;
Miałem mieć, miałbym, miałem być i miałem;
Z Jupitera świat widać, jakim był przed laty;
Cóż wojny! Kontynenty mają kształty stałe.

WALLACE STEVENS

NA STARY RÓG

Tak mówił ptak. Ptaki były niegdyś ludźmi,
Lub ludźmi miały być; były stworzeniami
Z okiem człowieka, ludźmi w łuszczy pierza, skapcami
Liczącymi oddechy; kobietę rozrzuconą można by wyśpiewać.
A potem ptak, podbrzusze czerwone, rozłożył
Wokół drzew niósł się. Czy rzec można by, że to było
Dziecko z ogonem szczura?

Kamienie
Były różowe, żółte, fioletowe, czerwone. Irysy
Zakwitły białe. I ptak znów zakrzyknął.
Czy rzec można by, że śpiewał kolory
Kamieni? Jak myśli, fałszywie? Kolory, nie woń
Rozgrzaną słońcem?

Na stopniach głosu, w śpiewie,
Znalazł człowieka, i więcej, i przeciwko klęsce
Ohwalał się i został ohwalany.

II
Jeśli gwiazdy, co razem krążyły, rozpraszają się
I jak owady ognia w grotę nocy leca,
Pipperoo, pippera, pipperum... A reszta jest gniciem.
Tłumaczył Jarosław Marek Rymkiewicz

WŚRÓD LALEK

DOKOŃCZENIE ze str. 1



ze smyczkiem wzniesionym do góry, Lis o przebiegłym pyszczku obmyśla nowe fortele. Policjant z dobroduszo — groźnym marsem na czoło niejako kieruje ruchem. Różnokolorowość strojów rozjaśnia mrok.

Jeśli dla dzieci świat bajek zaczyna się na scenie, to dla dorosłych za kulisami. Każda lalka coś wyraża, chce coś powiedzieć, o każdej lalce można opowiedzieć długą bajkę. A jeśli się chce, ale tak naprawdę bardzo chce, to można usłyszeć o czym lalki mówią między sobą.

Czy lalki mogą mieć kłopoty i troski? O tak. Na pewno.

Gdy mówi się o osiągnięciach łódzkich teatrów, o nagrodach przyznawanych naszym lokalnym przybytkom Melpomeny, bardzo rzadko i bardzo krótko wspomina się o teatrach lalek. Niewiele z nas wie zapewne o tym, że Polska jest bardzo wysoko notowana na międzynarodowym rynku lalkarskim, że zajmuje pierwsze miejsce w świecie za stronę plastyczną swych przedstawień.

Mamy czym się chwalić, a dlaczego tego nie robimy? Czyżby przesadna skromność? Nie. Po prostu traktujemy teatr lalek jako rozrywkę dla dzieci. Bezsporny jest fakt, że np. „Arlekin” nie zaspokaja gustów mieszczańskich publiczności, jak np. operetka... Może dlatego właśnie tak mało słychać o nim w prasie.

Byłoby jednak błędem twierdzić, że w Polsce o teatrach lalek w ogóle się mówi. Przeciwnie. W porównaniu na przykład z CSR mówimy dużo, ale nasi recenzenci traktują teatr lalek protekcjonalnie, z poklepywaniem po ramieniu. Brakuje nam zdecydowanie prasy fachowej, która pomogłaby teatrom lalek w wytyczeniu nowych perspektyw twórczych przy pomocy wnikliwej analizy. Brak ten tak silnie dał się odczuć, że przy teatrze „Arlekin” powstało pismo fachowe pt. „Teatr Lalek”. Wydawanie tego pisma stanowi swego rodzaju curos. Otóż, pismo nie ma żadnych funduszy. „Teatr Lalek” wydawany jest w tyśiącu egzemplarzy miesięcznie. Potrzeba na to 27 tys. zł, a z prenumeraty wpływa do redakcji tylko 15 tys. Brakujące 12 tys. zł radzono pokrywać redakcji z funduszu teatru. Oczywiście takie postawienie sprawy nie jest słuszne, gdyż zuboża to fundusz teatralny. Walka o dotacje na pismo w Ministerstwie Kultury i Sztuki nie odniosła jak do tej pory skutku. Wprawdzie przyznawano drobne, doraźne sumy na pomoc w wydawaniu pisma, ale nie rozwiązywało to jednak sprawy. Brak stałego kapitału powoduje, że pismo ukazuje się bardzo nieregularnie. I oto cały szkopuł.

„Teatr Lalek” uchodzi za najciekawsze w świecie pod względem formalnym i graficznym pismo tego rodzaju. W czasie trwania festiwalu

bukareszteńskiego rozeszło się błyskawicznie.

Wiele krajów chciało zaprenumerować na stałe „Teatr Lalek”. W sumie zgłosiło się około 500 prenumeratorów zagranicznych. Niestety, brak funduszy, a co za tym, nieregularne wydawanie nie pozwala na stałe rozprowadzanie tego pisma. A polscy lalkarze mają dużo do powiedzenia. Dowodem tego może być sensacja, jaką rozbudziły w świecie dyskusyjne artykuły „Teatru Lalek” o teatrze obrazkowym. Autorem artykułów drukowanych w piśmie nie płaci się ani grosza, nie ma z tego. Ale ludzie mają i chcą coś powiedzieć na temat lalek. I dlatego pismo choć nieregularnie, lecz ukazuje się. Wierzymy, że obiecane fundusze dla „Teatru Lalek” w roku 1959 zostaną przyznane.

* * *

— 13-letnia Kryśka W. przyjechała prosto z morza do wujka, dyrektora teatru lalek i nie bardzo wiedziała co robić po południu, bo wyraźnie zbierało się na deszcz.

— Nudzisz się? — zapytał wujek.

— Tak. Poszłabym do twojego teatru, ale w wakacje przecie nie gracie. Zresztą, co to za teatr lalek. Niby dla dzieci, a dzieci nic w nim nie robią.

— No, dobrze, a co byś chciała robić w teatrze?

— I tak zaczął się ciekawy eksperyment „Arlekin”. Trzynastoletnia Kryśka zaczęła rysować projekty lalek i dekoracji do przeczytanej sztuki („Dzieci pana Małstra” — Z. Rogosz-Walewskiej). Projekty okazały się tak ciekawe, że oparto na nich plastyczną realizację spektaklu.

... Pękające drzewa, różnokolorowe okna, dzieci o nie-

bieskich buziach i czerwonych oczach, najdziwniejsze stroje — oto świat baśniowy... ale widziany naprawdę oczyma dziecka. Teraz teatr projektuje nawiązanie kontaktu z innymi dziećmi, z myślą o przyszłych premierach.

Jeśli już mowa o eksperymentach w „Arlekinie”, należy wspomnieć o jego repertuarze.

„Arlekin” jest teatrem dającym przedstawienia dla dzieci starszych (8 do 10 lat), a czasem i dla dorosłych. Bogaty repertuar teatru łódzkiego mieli okazję już poznać. Jest wiele takich przedstawień, które zespół

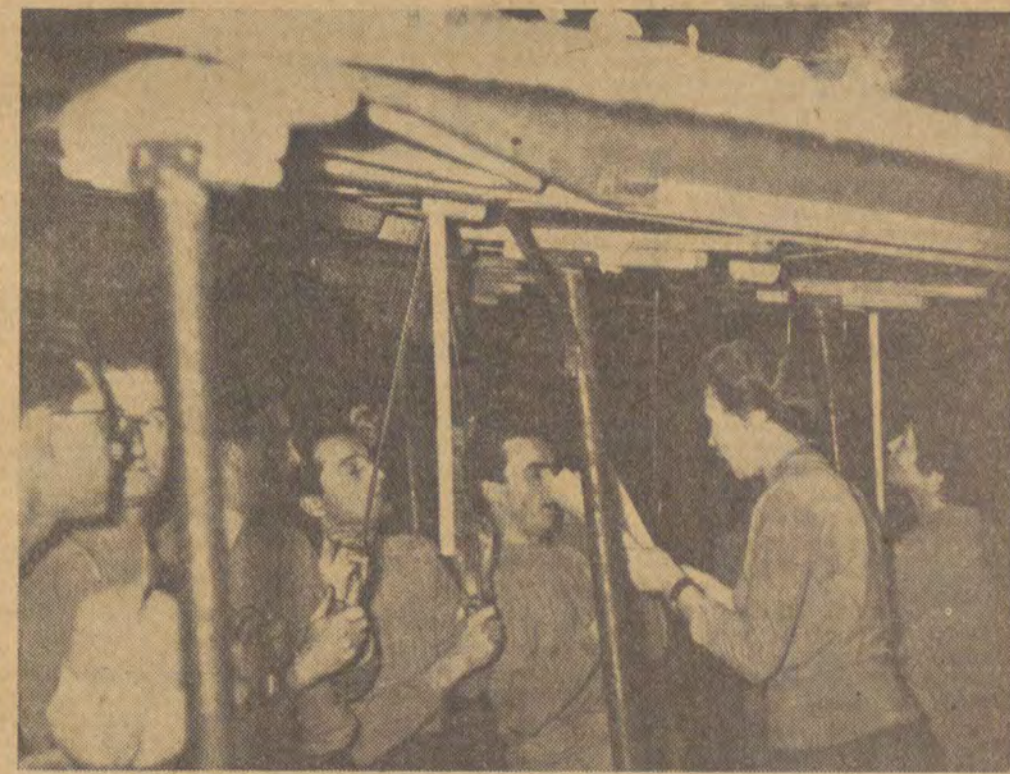
grał po 700 razy. Są także ludzie piszący i adaptujący utwory dla teatru lalek.

W najbliższej przyszłości, na scenie „Arlekin” ujrzymy: „Młynyk do kawy” K. I. Gałczyńskiego (w adaptacji J. Gałewicza), adaptację z Sienkiewicza („W pustyni i w puszczy”) i Koestnera („35 maja”), oraz „Zabijaki Fafulaki” Zofii Lorentz.

W bieżącym roku teatr obchodzić będzie swoje dziesięciolecie i wtedy wciśbiski reporter postara się napisać coś więcej. Na odmianę od od strony widowni.

DANUTA TARCZYŃSKA

Foto: Adam Idziński



Stanisława Sowińska

KWIATY ŁÓDZKIE

PIW

str. 464 cena zł 20

Z satysfakcją należy stwierdzić, że Łódź, jako temat literacki, znajduje po wojnie w naszej beletryście znacznie szersze uwzględnienie niż dawniej. Przypisać to należy, niewątpliwie, dwóm głównym czynnikom: uznaniu doniosłej

roli Łodzi w historii polskiego ruchu rewolucyjnego i sprawiedliwej ocenie miejsca, jakie zajmuje nasze miasto w życiu gospodarczym kraju. Nie licząc wznowień, mógłbym tu wymienić co najmniej pół tuzina powojennych, godnych uwagi, pozycji literackich, poświęconych tematyce łódzkiej, a związanych przeważnie z okresem naszej drugiej niepodległości. Do takich właśnie książek należy obszerna powieść Stanisławy Sowińskiej „Kwiaty łódzkie”.

Sowińska wydała w r. 1948 książkę — „Lata walki”, w której jako aktywna i wybitna uczestniczka lewicowego ruchu oporu — zawarła swe wspomnienia z okresu antyhitlerowskiej konspiracji. Obecnie — mamy przed sobą jej powieść, czyli utwór, w którym literackie kwalifikacje autorki mogły znaleźć wyraz pełniejszy niż we wspomnianym pamiętniku.

„Kwiaty łódzkie” — to z doskonałą znajomością rzeczy opisane dzieje robotniczej rodziny Partyków na tle szerzej ujętego obrazu Łodzi w ramach chronologii międzywojennej. Znajdujemy więc tu wszystko, czym żyła proletariacka Łódź w owych czasach: sratna vegetacja na granicy nędzy, kryzysu, bezrobocie, strajki, wiece, demonstracje, niestępliwą walka rewolucyjnej, komunistycznej awangardy, próby „jednolitofrontowe”, represje i więzienia, aż po tragiczne dni września 1939 roku — oto treść obrazu, ukazanego przez Sowińską z pasją, z sentymentem, a niekiedy i z humorem lub z ironią.

W jego centrum widzimy rodzinę Partyków: ojca, matkę i ośmioro dzieci, z których prawie wszystkie — choć różnymi drogami — dochodzą do komunizmu. Są to postacie do ogółu dobre i ciekawie zindywidualizowane, mające — mimo podobieństw rodzinnych — własne oblicze i własne życie

wewnętrzne. Szczególnie utrwała się w pamięci wizerunek starego Partyki — prostego, na wskroś uczciwego i dobrego człowieka, który ma w swym sercu niewyczerpane zasoby wyrozumienia i zrozumienia dla wyfruwających jedno po drugim z rodzinnego gniazda dzieci.

Obok niewątpliwych zalet, do których należy również interesujący sposób narracji, powieść Sowińskiej ma jednak poważne niedostatki, a ich źródłem jest to, co określano do niedawna mianem: „wszystkoizm”. Autorka — zapewne z braku doświadczenia pisarskiego — zaprzęgnęła w jednej powieści zawrzeć zbyt wiele spraw, wątków i problemów. I od tego nadmiaru w drugiej połowie „Kwiatów” zaczyna pękać szwy kompozycyjne. Autorka po prostu nie wie, co robić z ciskającym się jej zewsząd pod pióro materiałem i w rezultacie zwarta początkowo konstrukcja powieściowa poczyną kruszyć się, pękać i

rozpadać na niemal autonomiczne części. W tym zamieszaniu giną poszczególne wątki (np. losy Bronki, Julka i Ireny), wiotceją kontury niektórych postaci (np. Karol) niewieranej bezkarnie przez męją i zalamuje się motywacja psychologiczna (dlaczego Włodzisław, postać najzupełniej pozytywna, okazuje się przy końcu książki, całkiem niespodziewanie, skończonym draniem?).

Goethe wyrzekł kiedyś mądre i trafne zdanie: „Po ograniczeniu poznaje się mistrza”. Chodziło tu o umiejętność ograniczania się w rzeczach warsztatu pisarskiego, o chwalebna zdolność selekcji i wyboru w obliczu całych złóż literackiego surowca. Gdyby wszyscy pisarze pamiętali zawsze o tej znakomitej goethowskiej maksymie, wiele utworów wzniósłoby się o parę szczebli wyżej w hierarchii literackiej. Dotyczy to i „Kwiatów łódzkich”, choć nie dyskwalifikuje ich bynajmniej,

jako książki o poważnej wartości dokumentalnej, obyczajowej i społecznej. Sądząc, że każdy łódzianin przeczyta ją z zainteresowaniem, a już najbardziej zalecałbym tę lekturę młodemu pokoleniu, które bardzo mało albo zgoła nie wie o tym, jak to było w naszym mieście, w Łodzi 25 czy 30 lat temu, kiedy w Polsce rządziła „sanacja”, a symbolem jej władzy była pałka policyjna, Berezka Kartuska i gorąca miłość do faszyzmu we wszelkiej jego odmianie. O tym wszystkim warto, doprawdy, poczytać i retrospektywnie pomyśleć.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

odgłosy str. 7



Pomnik Lajosa Kossutha

CEZARY JUSZYŃSKI

BUDAPESZT u progu wiosny

Istnieje wiele turystycznych recept na zwiedzanie miasta. Żadna z nich na pewno nie jest doskonała. Dlatego też postanawiam odbyć dłuższą wycieczkę. Przyjemną wódcę po przyjemnym mieście. Rozpocząłem od Budy, części miasta leżącej po zachodniej stronie Dunaju. Przechodzę przez wzgórza, na stokach których leżą rozsiane tu i ówdzie wille, i otaczające je ogrody. Kieruję się na Górę Gellerta, na której znajduje się pomnik Wolności. Stąd tak samo jak z Góry Wolności, Szechenyiego, z Góry Jana czy też z „Harmashatarhegy” — widać szeroką wstęgę rzeki z przelocowanymi przez nią niby ręce mostami, bezkres domów na tamtym brzegu, poprzedzielanych arteriami na większe lub mniejsze bloki. Już po chwili rozpoznaje sylwetki ważniejszych — znanych mi z widoków — obiektów stolicy Węgier. Widzę nad brzegiem Dunaju pomiejędzy mostem Łańcuchowym i mostem Kossutha stylowy gmach parlamentu z ozdobnymi wieżami w pobliżu odbudowaną zaraz po wojnie potężną kopułę katedry św. Stefana.

Dwa miasta, Buda i Peszt, przeszło sto lat temu w okresie Wiosny Ludów zrosły się w jedną całość. Zostały połączone masywnymi dumnymi mostami, które wszystkie siedem fałszywie wysadzili w powietrze. Dziś pięć nowych mostów, niby wspaniałe łańcuchy łączy znowu Budę z Pesztem.

Spacerem okrążam Budę i dochodzę do brzegu Dunaju, gdzie przez most Malgorzaty dostaje się na wyspę również jej imienia. Jest to przepiękne miejsce, leżące w objęciach Dunaju między oboma częściami miasta — pełne zagajników, parków, przystani wioślarskich, z kąpieliskami, pływalniami i luksusowymi hotelami. Długo jest tu spokojnie i smutno, ale za kilka tygodni, gdy znowu zaświeci słońce, zazielenią się liście wiekowych drzew, zakwitną kwiaty — ożywi się wyspa będąca miej-

scem odpoczynku i żążywania sportów wodnych, miejscem dziesiątków gorących źródeł o znacznych właściwościach leczniczych. Stare dęby, lipy, topole na wyspie odbijając się w „pięknym, modym Dunaju” będą znowu jak co roku cieszyć oko ludzkie.

PESZT

Z wyspy Malgorzaty udaję się do Peszta. Przechodzę wybrzeżem naddunajskim w stronę parlamentu. Ten potężny gmach z charakterystycznymi wieżami i kopułami pokrytymi patyną jest urzekająco piękny, wrośnięty w Budapeszt i stanowiący jego symbol jak nasz warszawski Belweder czy kolumna Zygmunta. Tuż za parlamentem pałac Węgierskiej Akademii Umiejętności. Przy moście Łańcuchowym skręcam w lewo i wkraczam do najruchliwszego punktu miasta na Váci utca. Tutaj właśnie rozpoczyna się centrum ruchu handlowego. Domy mody, magazyny odzieży, wspaniałe urządzone wystawy, bogate w najprzeróżniejsze towary tekstylne, futra, artykuły przemysłowe, mogące zaspokoić najwybredniejsze gusta klientów.

Cały handel węgierski oparty jest przez przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielczość ale absolutnie nie przypominają one naszego polskiego handlu. Odwiedzam domy towarowe, oglądam towary, zastrzegając z góry, że niczego nie kupię — personel jednak jest grzeczny, uprzejmy. Skąd wzięli ci Węgrzy takich świetnych sprzedawców, którzy nie tylko umieją obsługiwać, pakować ale i udzielić szczegółowych informacji o pochodzeniu towarów, ich produkcji, różnicy w jakości zależnej od właściwości surowca? Ach. Żeby tak u nas...

Na Váci utca 24 mieści się „Lengyel olvasoter” czyli polska czytelnia. Jest to przyjemnie zorganizowany klub, z czytelnia, salą kinową i bogatą biblioteką. Tu najczęściej spotyka się Polonię budapeszteńską, rekrutująca się przeważnie z pozostałych na Węgrzech i pożenionych uchodźców z okresu wojny oraz pracowników polskich placówek dyplomatycznych i handlowych. W czasie mojego pobytu w Budapeszcie nasza ambasada urządziła tu wystawę 40-lecia

Komunistycznej Partii Polskiej, obrazującą działalność polskich komunistów w kraju oraz na Węgrzech w okresie istniejącej Węgierskiej Republiki Rad. Wystawa wzbudziła olbrzymie zainteresowanie naszych rodaków jak również i licznych Węgrów, którzy często bywają w tejże czytelni. Rozmawiałem z liczными przedstawicielami świata kulturalnego Budapesztu. Obejrżeli oni kilka krótkometrażowych filmów polskich: „Mazowsze”, „Śląsk” oraz występy polskich solistów opery i baletu. Zachwyceni poziomem artystycznym gorąco wypowiadali się za zakontraktowaniem na Węgry naszych dwóch reprezentacyjnych zespołów i wielu solistów: muzyków, śpiewaków i tancerzy. Wkrótce potem „Papar” podpisał umowę o wymianie kulturalnej. Tak więc przy pomocy filmów udało się nam umożliwić pokazanie nie widzowi węgierskiemu naszych osiągnięć artystycznych. W ogóle filmy polskie cieszą się tutaj dużym powodzeniem. Nie mówię już o „Kanale”, czy „Ostatnim etapie” ale nawet „Prawdziwy koniec wielkiej wojny” tak ostro skrytykowany u nas w kraju — tu w Budapeszcie powodował duże kolejki przed kinami.

Idę po Peszcie. Zwiedzam słynny dom handlowy Korwina, potem Galerię Sztuki Pięknych, teatry. Monumentalne gmachy Teatru Narodowego. Opery Państwowej przypominają mi stylowe gmachy teatrów widzianych w Wiedniu, Zagrzebiu czy nawet naszym rodzimym Krakowie Teatr im. Słowackiego. Tak, to jeszcze pamiętki z okresu c. k.

W Budapeszcie wszędzie króluje czystość i porządek. Brak jakichkolwiek śladów zniszczeń wojennych czy też z okresu niedawno przeżytej tragedii... Ludzie ubrani dostojnie. Pamiętający jeszcze trudne przeżycia sprzed dwóch lat, ale optymistycznie spoglądający w przyszłość.

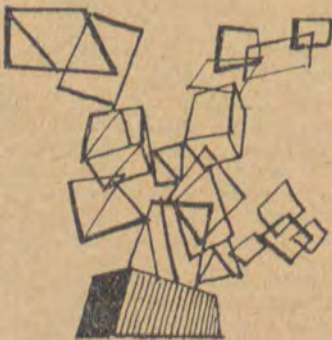
To prawda, że jeszcze jest wiele spraw do załatwienia. Ale zrobiono już wiele. Liczne podwyżki płacy, dobre zaopatrzenie sklepów, dostatek i szeroki asortyment artykułów konsumpcyjnych, także importowanych, powoli ale konsekwentnie wracająca stopa życiowa przy-

czyniły się do stabilizacji życia. Rozmawiałem z wieloma ludźmi ze sfer robotniczych i inteligentkich. W swoich wypowiedziach są szczerzy i bezpośredni. Nie chwają za bardzo, nie krytykują, nie narzekają. Wszyscy stwierdzają jedno: jest lepiej, niż było wczoraj. I wierzą w perspektywy dalszego polepszenia życia i stabilizacji stosunków.

Gdziekolwiek pokaże się Polak, od razu podkreślają swój przyjazny stosunek do nas. Są serdeczni, wylewni i prawdziwie przyjaciele. Wspominają naszą starą przyjaźń, tradycje wspólnych walk wolnościowych.

Kiedy wracałem do kraju, w pociągu w jednym przedziale jechał ze mną stary koleżanek emeryt. Gdy dowiedział się, że jestem Polakiem wyciągnął z teczek kilka gazet: „Nepszabadsag”, „Magyar Nemzet” i inne, i z dumą pokazywał, jak liczone są w nich artykuły o Polsce. Potem zabrał mnie do bufetu i piiliśmy świetne węgierskie wino. Piiliśmy, usmiechaliśmy się do siebie i wznosiliśmy toasty za zdrowie Polaków i Węgrów, za pokój, który i im i nam jest potrzebny do urzeczywistnienia lepszego życia.

15 marca 1959 roku miała 111 rocznica Wiosny Ludów. Rocznicą zrywu wolnościowego Węgrów pod wodzą Lajosa Kossutha i Józefa Bema. Ich idea jest realizowana dzisiaj przez demokrację węgierską. Węgrzy święcą tę rocznicę. My Polacy w tym dniu skierujemy też nasze myśli do bratniego narodu, który tak ceniał naszą przyjaźń.



JERZY URBANKIEWICZ

Kwiatki w klasie szkolnej

Ach, wiem jeszcze, że na drugiej półkuli
Słońce świeci, gdy u nas jest ciemno:
Różne rzeczy do głowy, mi wkuli,
Tumanili nauką daremną.
I nie wiem i nie nie rozumiem
i wciąż wierzę biednymi zmysłami,
że ci ludzie na drugiej półkuli
Muszą chodzić do góry nogami.

(J. Tuwim — Nauka)

Chodzi o to, by dziecko weszło w dorosłe społeczeństwo bliższe ideału człowieka. Pozbawione psychicznych okaleczeń szkodliwych rozdzielonych przez wojnę. Przygotowane fachowo. „Dziecko, z którym się spotykamy” nie może być zjawiskiem charakterystycznym.

A nie jest rzeczą łatwą, by nauczyciel, przeważnie niosący na sobie brzemie wojennych i powojennych kompleksów, umiał zataić je w sobie, a w duszę dziecka przelać tylko kryształowe zasady. Więc celem wysiłku społecznego musi być taka konstrukcja szkolnictwa i wychowania, by nauka nie była daremną.

Spółczesność oczekuje, że III Zjazd PZPR będzie etapem we właściwym ukształtowaniu tych dziedzin. Stąd umieszczone niżej poglądy nauczycielki szkoły podstawowej Nr 143, p. Danuty Tomaszewskiej, która jest jednym z delegatów Łodzi na Zjazd.

SZKOŁY SZKOLENIA ZAWODOWEGO

Najbardziej zdradliwym dla wychowania jest okres, kiedy dziecko skończy szkołę podstawową i nie kontynuuje nauki. Następuje okres dwuletniej

beczynności, gdyż młody wiek nie pozwala jeszcze na podjęcie pracy zarobkowej. Okres ten sprzyja utracie wielu osiągnięć z lat szkolnych a nabytciu tego, co daje ulica i kawiarnia. Zarządza temu szkoły szkolenia zawodowego, które wypełnią ową dwuletnią lukę zapoznaniem młodzieży z różnymi dziedzinami pracy zawodowej. Nie będą to szkoły uczące zawodu. One tylko wzbudzą zainteresowanie w danym kierunku. Pokażą.

— O ile wiem, tak właśnie pomyślano projekty przynajmniej niektórych szkół 1000-lecia. Ale czy w charakterze tych szkół uwzględni się potrzeby Łodzi, jako centrum włókienniczego?

— Pracownice szkolne winny oczywiście brać pod uwagę charakter przemysłu łódzkiego. Winny zapoznać z tkactwem, włókiennictwem, dziewiarstwem i do tego dążyć.

— Wymaga to niewątpliwie rozszerzenia istniejących budynków szkolnych i budowy nowych. Plan uroczystości tysiąclecia przewiduje budowę tych szkół, ale czy nie sądzi Pani, że tempo ich budowy nie pozostaje w żadnym stosunku do entuzjazmu społeczeństwa i napływu społecznych ofiar? Mamy już wiele umiarkowanych aktów erekcyjnych a pomimo łagodnej zimy nie widać postępu prac.

BUDOWA SZKÓŁ

— No cóż. Miejskie Przedsiębiorstwo Budowlane narzeka na brak pracowników, na konieczność faworyzowania budownictwa mieszkaniowego. Będziemy się starać, by te sprawy ruszyły z miejsca. Tysiąclecie jest okazją mówienia o nich i pisania i ten rozgłos już wychodzi szkolnictwu na zdrowie.

SZKOŁY LAICKIE

— Nasz następny postulat to organizacja szkół laickich. Łódź ma ich tylko dwie. Jedna podstawowa i jedna jedenastolatka. A chodzi o to, by każda dzielnica miała u siebie ten typ szkoły.

ZMIANA PROGRAMÓW

— Bardzo istotną jest sprawa zmiany programów szkolnych w kierunku ich mocniejszego powiązania z życiem społecznym. Obecnie mają zbyt rozbudowane programy humanistyczne. Np. nauka historii w niedostatecznej mierze uwzględnia sprawy Polski, przy obszernym materiale do historii innych państw.

POWIĄZANIE SZKÓŁ Z ZAKŁADAMI PRACY

— Łódzkie szkolnictwo zawodowe napotyka jedną zasadniczą trudność: uczniowie uczą się na starych maszynach. Przygotowanie ich jest więc złe. Chcemy uzyskać takie powiązanie szkoły z zakładami pracy, by uczniowie odbywali zajęcia praktyczne na możliwie najbardziej nowoczesnych maszynach.

POWIĄZANIE SZKÓŁ Z RODZINĄ

— I wreszcie jeden z najważniejszych problemów dzisiejszego szkolnictwa: współpraca domu ze szkołą. Są to trudne sprawy, wymagające dużo taktu i doświadczenia ze strony nauczycieli oraz dużo dobrej woli ze strony rodziców. Musimy osiągnąć stan, w którym szkoła udzieli rodzicom nie tylko suchych informacji o ocenach uzyskanych przez dziecko, ale pomoże w wypracowaniu metody wychowania i co najważniejsze — zachęci rodziców do właściwego uzupełniania wpływów szkoły.

WYCHOWANIE MORAŁNO-ESTETYCZNE

— Mogę jeszcze wyodrębnić jedno z bardzo ważnych zagadnień: sensowne wykorzystanie godzin wychowawczych. Dziś są to godziny zapelniane dowolnie. A chodzi o program, który by był podstawą pracy wychowawczej nad dzieckiem.

— Nie kwestionując słuszności tego ostatniego postulatu, chciałbym zapytać Panią o zdanie w następującej sprawie. Czy nie sądzi Pani, że o wiele bardziej niż słowo, nawet niż słowo oparte o program, działa atmosfera, w której dziecko żyje. Zetknąłem się z faktami, że w wielu szkołach przyjął się zwyczaj dawania nauczycielom indywidualnych podarków, które w praktyce ważą na wysokości ocen otrzymywanych przez dziecko i na opinii o nim. Wydaje się, że jedna okazja do tego rodzaju podarków może zniweczyć wpływ wielu godzin wychowawczych. Czy nie przewiduje Pani starań o zlikwidowanie tego stanu w szkołach?

— Wydano rozporządzenia zabraniające przyjmowania takich podarków. W wielu szkołach jest ono przestrzegane. Ale zgadzam się z koniecznością wykorzystania tego zwyczaju tam, gdzie istnieje. W dziedzinie wychowania nie ma spraw mało ważnych. Ale nie ma też spraw łatwych.

Toteż słuszne jest, że się o nich dziś głośno mówi i pisze.



Rakiety międzyplanetarne „Tantra” i „Algrab” wyruszyły z Ziemi na planetę Zirdę, aby zbadać dlaczego łączność z tą planetą została zerwana. Okazało się, że na skutek zabójczego promieniowania życie na Zirdzie zamierało. Gwiazdołot „Tantra” znalazł się w tragicznej sytuacji. Na Zirdzie „Tantra” miała odnowić swe zapasy paliwa, co teraz stało się niemożliwe. Drugi gwiazdołot „Algrab”, który mógłby zasilić „Tantrę” dodatkową ilością paliwa tzw. anamezonu nie przybył na umówione spotkanie. Na próżno „Tantra” szukała „Algraba”. Wreszcie astronomi zdecydowali się lecieć ku Ziemi, mimo braku paliwa.

Po krótkiej naradzie Erg Noor włączył na dwie doby silniki anamezonowe. Gwiazdołot leciał teraz w kierunku Ziemi z szybkością 21 miliardów km na dobę. Od Słońca dzieliło astronautów około sześciu ziemskich lat. W centralnym stanowisku i w bibliotece-laboratorium zawrzała praca, obliczano i wyznaczano nowy kierunek lotu.

Czekali ich jeszcze sześć lat podróży, jeśli korzystając z anamezonu jedynie przy prostowaniu kierunku lotu. Należało więc sterować gwiazdołotem bardzo rozwrotnie, „oszczędzając” prędkość. Wszystkich niepokoił nie zbadany obszar 344+24 między Słońcem a „Tantrą”. Ominięcie tej strefy było niemożliwe, gdyż po jego bokach znajdowały się pola swobodnie latających meteorów. Poza tym statek przy każdorazowej zmianie kierunku traciłby nadaną mu szybkość.

Po dwóch miesiącach trasa lotu była wyliczona i wyznaczona. „Tantra” leciała wzdłuż linii równego natężenia.

Wspinały statek funkcjonował nienagannie. Prędkość lotu utrzymywała się w przepisowych granicach. Teraz tylko czas — około czterech zaledwie lat, dzielił astronautów od Ojczyzny.

Erg Noor i Niza, zmęczeni dyżurem, udali się na spoczynek. Wraz z nimi opuścili stanowisko dwaj astronomowie, geolog, biolog, lekarz i czterech inżynierów.

Dyżur rozpoczęła następna zmiana: doświadczony astronawigator — Pel Lin — uczestniczący już po raz drugi w podobnej ekspedycji, astronom Ingrid Ditra oraz inżynier Kej Ber. Za zgodą Pel Lina Ingrid często wychodziła do biblioteki mieszczącej się tuż przy sterowni. Razem ze swym przyjacielem, Kej Berem, pracowała nad monumentalną symfonią pt. „Śmierć planety”.

Pel Lin zmęczony muzyką przyrządów i obserwowaniem czarnych przepaści kosmosu niekiedy prosił Ingrid o zastąpienie go przy aparatach, a sam brał się do rozszyfrowywania tajemniczych napisów, które nadeszły z gwiazdozbioru Centaura, planety z niewiadomych przyczyn opuszczonej przez swych mieszkańców.

Już dwukrotnie zmienili się dyżurujący. Gwiazdołot zbliżył się do Ziemi na odległość 10 tys. miliardów km a silniki anamezonowe włączano dotąd tylko na kilka godzin.

Astronom Ingrid Ditra skończywszy obliczenia odwróciła się w stronę Pel Lina. Ten siedział z pełnym melancholii wzrokiem utkwionym w nieustannie drgające czerwone strzałki aparatów służących do określania natężenia grawitacyjnego. Pod koniec dyżuru nawet u najsilniejszych ludzi następowało pewne osłabienie reakcji psychicznych. Gwiazdołot całe miesiące i lata leciał po wyznaczonej trasie kierowany przez automaty. W wypadku więc pojawienia się na jego drodze wyjątkowej przeszkody, której automat sam nie zdołałby ominąć — groziła statkowi zagłada. Nie pomagała interwencja ludzi. Ich reakcje okazywały się zbyt powolne w porównaniu z szybkością działania automatów.

— Wydaje mi się, że weszliśmy już na obszar 344+24. Kierownik chciał tutaj sam dyżurować. — Ingrid zwróciła się do nawigatora.

Pel Lin spojrzał na licznik dni.

— Za dwa dni kończymy dyżur. Nie zapowiadają się żadne niespodzianki. Czy doprowadzimy sami dyżur do końca?

Ingrid kiwnęła głową na znak zgody. Wszedł Kej Ber. Usiadł w fotelu przy kontrolnym aparacie równowagi. Pel Lin ziewnął i podniósł się.

— Prześpię się kilka godzin — zwrócił się do Ingrid.

Zajął jego miejsce. „Tantra” leciała równo w absolutnej próżni. Niezwykle czuły przyrząd Woll Choda nie wykrywał obecności żadnego, najmniejszego nawet meteoru. Przednie ekrany obserwacyjne czerniały przeraźliwą pustką. Zda-

wały z większą szybkością niż planowaliśmy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dolecimy do Trytona nawet z naszą niewielką ilością paliwa.

Ingrid poczuła, że ogarnia ją radość na samą myśl o Trytonie — satelicie Neptuna, na którym znajdowała się przystań gwiazdołotów. Przybycie do Trytona oznaczało więc powrót do domu.

Myślałem, że zajmemy się muzyką, lecz Lin poszedł odpocząć na sześć — siedem godzin. Sam pomyślał teraz nad instrumentacją finału drugiej części naszej symfonii. Szkoda, że nie udało nam się jednak oddać nastroju narastającej grozy. Mam na myśli... — i Kej zanucił skomponowaną melodię.

— Dii, dii, da — ra — ra... — jakby odezwali się echem ściany. Ingrid drgnęła i obejrzała się. Już po chwili zorientowała się, że nastąpił wzrost siły ciążenia i aparaty sztucznej grawitacji zmieniły nagłe swą melodię.

— Zabawny zbieg okoliczności! — rozśmiała się lekko zażenowana.

— Wzrosło ciążenie. Tak, jak spodziewaliśmy się. Teraz możesz już być zupełnie spokojna. Niech Lin śpi.

Z tymi słowami Kej Ber wyszedł z kabiny sterowniczej. W jasno oświetlonej bibliotece usiadł przy elektronowym instrumencie, stanowiącym połączenie fortepianu i skrzypiec. Pograżył się w pracy.

Minęło kilka godzin, gdy hermetyczne drzwi otworzyły się i weszła Ingrid.

— Kej, kochany, obudź Lina.

— Co się stało?

— Napięcie pola ciążenia wzrasta

prędzej niż to przewidywano w obli-

czeniach.

— A przed nami?

— Po staremu, mgła!

astronawigatora. Ten zerwał się i

popędził do przyrządów w central-

nej kabine sterowniczej.

— Nie groźnego nie widzę. Tylko

skąd owo tak silne ciążenie? Jak na

ku spoczywał w jego rękach. Wciąż rosące ciążenie powodowało konieczność zmniejszania szybkości lotu. Zapewne na drodze gwiazdołotu znalazło się jakieś wielkie skupisko materii. Lecz już na ponowne rozpedzenie statku nie było paliwa!

Pel Lin zacisnął zęby i przekreślił włącznik planetarnych silników hamujących. Dźwięczne uderzenia spłotyły się z muzyką przyrządów, zagłuszając trwóży dzwon aparatu wykazującego stosunek siły ciążenia i prędkości. Zaledwie jednak Pel Lin wyłączył hamulce, gdy znów odezwał się dzwonek. To groźne, ciągle rosące ciążenie wciąż żądało zwolnienia lotu. Zrozumieli, że gwiazdołot leci prosto do jakiegoś potężnego skupiska materii.

Astronawigator nie mógł zdecydować się na zmianę kursu. Wykorzystując silniki planetarne hamował gwiazdołot, chociaż oczywisty stał się dla wszystkich fakt, że w wyznaczeniu trasy popełniono błąd.

— Pole ciążenia jest olbrzymie — pógłosem odezwiała się Ingrid. — Może być...

— Trzeba jeszcze bardziej zwolnić i zmienić kierunek! — wykrzyknął astronawigator. — Ale jakże później nabierzemy prędkości? — W głosie jego zadźwięczało zgubne w skutkach niezdecydowanie.

— Przebiliśmy już zewnętrzny sektor wirowy! — odezwiała się Ingrid. — Ciążenie jednak nieustannie i szybko wzrasta.

Usłyszano częste, dźwięczne uderzenia. To motory planetarne wiały się automatycznie, gdy kierująca statkiem elektronowa maszyna wyczuła przed sobą wielką masę.

„Tantra” poczęła hustać. Gwiazdołot coraz bardziej zwalniał, ale ludzie zaczęli już tracić przytomność. Ingrid upadła na kolana. Pel Lin starał się utrzymać prosto ciężką, jak ołów głowę. Kej Ber poczuł, jak ogarnia go bezmyślny zwierzęcy strach i bezradność dziecka. Uderzenia silników przeistoczyły się w nieprzerwany grzmot. Elektro-

Nagle z zewnątrz wtargnęło coś przykrego. Zakłóciło radość przebudzenia z długiego snu. Erg Noor rozpoczął rozpaczliwą walkę, usiłując wrócić do pełnej świadomości. Wreszcie zorientował się, że to pracują silniki anamezonowe — a więc stało się coś bardzo złego. Spróbował wstać, lecz mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Nogi ugły się i Noor upadł. Dopiero po pewnym czasie udało mu się jednak podpełznąć do drzwi i otworzyć je. W korytarzu padł na czwoki i w ten sposób dotarł do centralnego stanowiska.

Wpatrzni w aparaty i tarcze zegarów ludzie obejrzeni się przestraszeni i podbiegli do kierownika. Nie mogąc podnieść się, przemówił:

— Przednie ekrany... przełączyć... zatrzymajcie silniki!

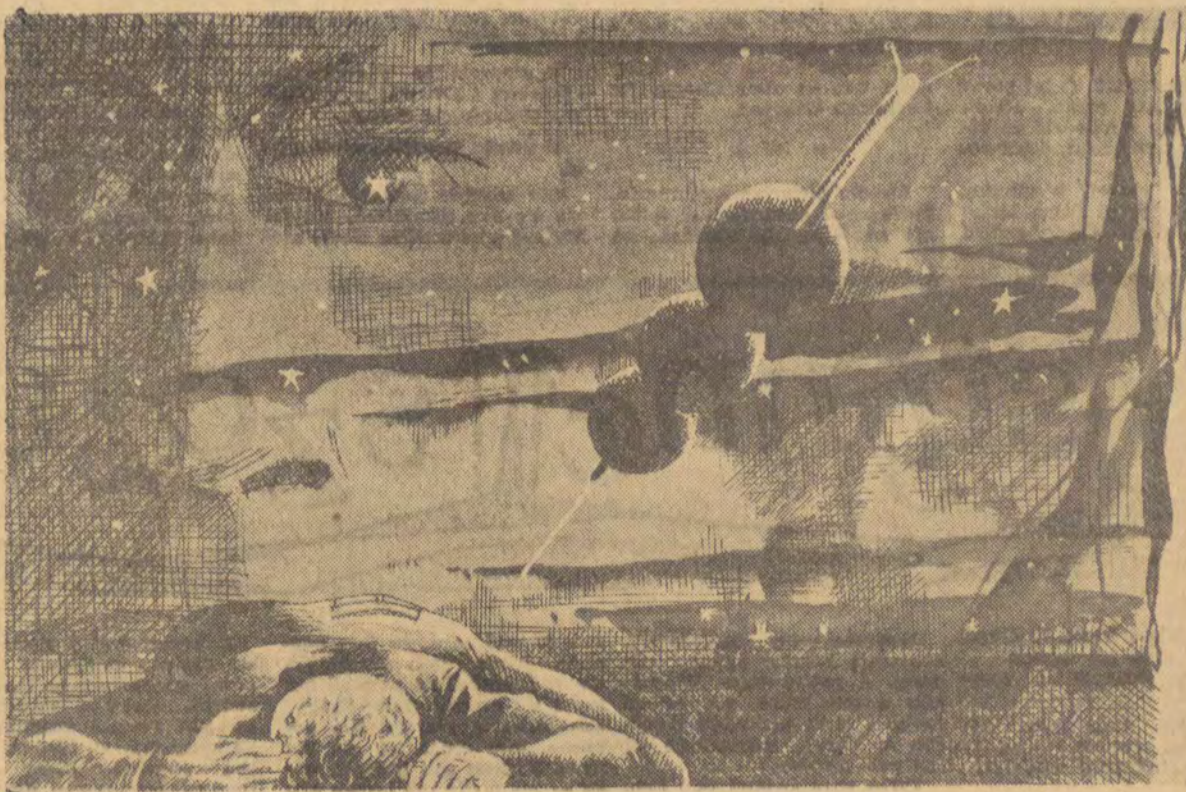
Cylindry wygasły i ustała nieznosna wibracja. Na prawym przednim ekranie pojawiła się olbrzymia gwiazda, świecąca matowym czerwono-brunatnym światłem. Na chwilę wszyscy zastygli z przerażenia, nie spuszczając oczu z ogromnego dysku.

— O, ja głupiec — wykrzyknął boleśnie Lin. — Byłem przekonany, że znajdujemy się obok Ciemnej Chmury. A to jest...

— Żelazna Gwiazda — z przerażeniem krzyknęła Ingrid.

d. c. n.

1) Zewnętrzny sektor wirowy — obszar zetknięcia się pól grawitacyjnych dwóch konstelacji gwiazdnych, w którym powstają zakłócenia oraz wiry.



wało się, że statek leci w sam środek mgły. Tylko boczne teleskopy ujawniały światła niezliczonych gwiazd. Dziwny niepokój ogarnął astronoma. Ingrid wróciła do swych maszyn i urządzeń, ciekawie sprawdzając podawane przez nich obliczenia oraz dokładnie notowała trasę lotu poprzez nie zbadaną przestrzeń. Ingrid nie mogła oderwać oczu od złowrogiej mgły, która otaczała statek. Kej Ber zauważył zdenerwowanie dziewczyny. Począł również obserwować pracę przyrządów.

— Nie znajduję nic złego. Czy ty coś zauważyłaś?

— Sama nie wiem. Niepokoi mnie ta dziwna mgła na przedzie. Ciągłe odnośne wrażenie, że statek nas leci prosto w jakąś mgławicę.

— Powinna tu być Ciemna Chmura — stwierdził Kej Ber — ale my prześlizgnęliśmy się po tej krawędzi. Tak wykazują obliczenia. Napięcie pola ciążenia wzrasta równomiernie i słabo. W podróży przez ten obszar na pewno zbliżyliśmy się do jakiegoś wężła grawitacyjnego. A to przecież wszystko jedno czy będzie on ciemny czy świecący?

— Chyba masz rację — odpowiedziała uspokojona Ingrid.

— Dlaczego więc się denerwujesz? Lecimy wzdłuż wyznaczonej

Ciemną Chmurę jest ono zbyt mocne, a żadnej gwiazdy tu przecież nie ma...

Lin zamyslił się, a potem nacisnął guzik budzenia połączony z kabiną kierownika. Po chwili poczuł także budzić i Nizę Krit.

— Jeśli nic się nie przydarzy, wtedy oni nas po prostu zastąpią — wyjaśnił zaniepokojonej Ingrid.

— A jeśli coś się stanie? Erg Noor dojdzie do normalnego stanu dopiero po pięciu godzinach. Co robić?

— Czekać — odpowiedział spokojnie Lin. — Cóż bowiem może się zdarzyć w ciągu pięciu godzin? Jesteśmy bardzo daleko od wszystkich gwiazdozbiorów...

Tonacja grających aparatów ciągle się zmieniała, co świadczyło o zmianie trasy lotu. Pełne napięcia wyczekiwanie ciągnęło się bardzo długo. Pel Lin wydawał się być spokojnym, ale Kej Berowi udzieliło się zdenerwowanie Ingrid. Często oglądał się w kierunku drzwi, oczekując Erg Noora, chociaż wiedział, że obudzenie z długotrwałego snu trwa pełne pięć godzin.

Nagle wszyscy drgnęli na dźwięk głośniego dzwonka. Ingrid ucieszyła się Kej Bera.

— „Tantra” jest w niebezpieczeństwie! Napięcie pola wzrosło dwukrotnie.

Astronawigator zbladł. Zbliżało się niebezpieczeństwo. Należało natychmiast podjąć decyzję. Los stat-

nowy mózg walczył teraz zamiast ludzi. Był po swemu potężny, ale jakże ograniczony. Nie mógł przewidzieć skomplikowanych następstw, wymyślić wyjścia z trudnej sytuacji.

Kolysanie statku osłabło. Opadały szybko skupki określające ilość zapasu planetarnych nabołów jonowych. Oprzytomniawszy, Pel Lin zrozumiał, że dziwny wzrost ciążenia odbywa się w takim tempie, że aby zatrzymać statek należy zastosować nadzwyczajne środki zaradcze.

Nacisnął dźwignię anamezonowych silników. Cztery wysokie cylindry, które można było obserwować przez specjalne okienko w pulpicie — rozbiły się od wewnątrz. Jasno zielony płomień zabuzował w nich wściekłą błyskawicą i skreślił się w cztery spirale.

Astronawigator przesunął dźwignię jeszcze dalej. Błysnęła oślepiająca fioletowa błyskawica — sygnał, że zaczęło się zużycie anamezonu. Cały kadłub gwiazdołotu odezwał się niedosłyszalnym, trudnym do znieślenia, wysokim dźwiękiem.

Erg Noor pośliszszy się leżał pograżony w półśnie pod przyjemnym elektromasażem systemu nerwowego. Powoli przemijał stan niebytu. Melodia budzenia brzmiała coraz mocniej.

ZBRODNIA przy ul. Chopina



ledwo widocznych w mroku katuł i błotnistych bajor grozących na dawno wysłużonych chodnikach, sędli spokojnie środkiem uliczki.

W pół godziny potem stwierdzono, że na ulicy Chopina leży trup milicjanta. Natychmiast wezwano pogotowie i wszczęto doraźne śledztwo. Niestety, nie dało ono żadnego rezultatu. Brakło jakiegokolwiek śladu walki, nie było narzędzi zbrodni, nie znaleziono także odcisków palców i innych śladów zostawianych zwykle przez przestępców. Wszystko wokół oczekiwało wody, deszcz padał bez przerwy, jezdnia była twarda, kamienna. Stwierdzono jedynie, że z kabury milicjanta wyjął pistolet.

Milicjant dawał jeszcze pewne oznaki życia. Jak potem wykazały dokładne badania, napadnięty został dwukrotnie uderzony jakimś ciężkim narzędziem, wskutek czego doznał wieloodłamowego złamania kości czaszki, wstrząsu mózgu oraz krwaka podoponowego na lewej skroni. Milicjant Paweł Pawlas został na całe życie kaleką. Po naruszeniu centralnego organu układu nerwowego niedowład prawą stroną ciała; wzrok i słuch nigdy już nie będą funkcjonowały normalnie.

Gdzie szukać zbrodniarzy? Śledztwo utknęło na martwym punkcie. Milicja stanęła przed zagadką nie do rozwiązania. Wiedzano tylko jedno: bandyta czy bandyci stali się obecnie o wiele groźniejsi. Byli teraz uzbrojeni, zdobyli pistolet i siedem naboł.

Siedem naboł — to w rękach przestępcy być może los siedmiu istnień ludzkich, to siedem potencjalnych tragedii. Ale gdzie się te tragedie rozegrają, w jaki sposób — tego nie można przewidzieć. Sądzono, że bandyci z pewnością już są daleko. W każdej chwili spodziewano się wiadomości, czy to ze Szczecina, Poznania, Łodzi lub Białegostoku, zresztą, trudno było przewidzieć dokąd mogli trafić przestępcy, którzy zrabowali nagan w dżdżystą, listopadową noc na ulicy Chopina w Łaziskach Górnych.

Ale oto pierwsze wydarzenie, które choć pozornie nie miało nic wspólnego ze zbrodnią na

ulicy Chopina, stało się wstępnym ogniwem długiego łańcucha przestępstw.

17 listopada ubiegłego roku do sklepu PSS numer 3 w Mikołowie weszło dwóch młodych ludzi. Jeden z nich stanął przy wejściu, a drugi wyciągnął błyskawicznie pistolet i sterroryzował obecnych w sklepie klientów oraz kierownika. Podszedł następne do lady i zrabował gotówkę. Ponad 7 tysięcy złotych. Zabrawszy pieniądze napaściny zbiegli, a pościg nie dał żadnego rezultatu.

30 listopada klient i kierowniczka sklepu rzeźniczego przy ulicy Krakowskiej w Mikołowie z przerażeniem ujrzeli wycelowaną w nich lufę pistoletu. Usiłującą opierać się kierowniczkę, bandyta pchnął w pierś tak mocno, że upadła na pierś do rąbania mięsa. Ze skrzyni znajdującej się pod ladą zrabował 14.000 złotych.

Wykorzystując moment nieuwagi napaściny kilku klientów zdołało uciec ze sklepu i wszczął alarm. Spłoszony krzykiem współnik bandyty, który jako „czujka” stał przed sklepem, szybko wziął nogi za pas. Za chwilę wybiegł ze sklepu bandyta ze skradzioną gotówką. Sprawców rabunku i tym razem nie zdołano ująć podczas pościgu. Ale punkt zwrotny nastąpił. Do walki z rabusiami stanęli nieśmiało jeszcze zwykli obywatele.

14 grudnia przed godziną 18 do sklepu przy ulicy Dworcowej w Łaziskach Górnych weszło dwóch mężczyzn i zażądało piwa. Gdy jeden z nich płacił banknotem stużłotowym, drugi wyciągnął z kieszeni rewolwer i mierząc w stronę kierownika wszedł za ladę. Kierownik nie stracił przytomności; zamknął szufladę z gotówką i odrzucił od siebie kluczyk. Sterroryzowany jednak rewolwerem musiał ustąpić. Pieniądże znów padły pastwą bandytów.

16 stycznia bieżącego roku podobny napad miał miejsce w sklepie przy ulicy Reja w Mikołowie. Bandyci zabrali około 2.000 złotych.

31 stycznia na ulicach Puczęńskiej i Nowotki w Mikołowie rozległy się strzały.

24 lutego bandyci zostali ujęci.

Oto bandyta numer 1. Nazywa się Jan Sztalmach. Ma lat 28, jest właścicielem wcale nie

złego siedmiohektarowego gospodarstwa. Ale przestępcy nie chcieli się pracować na roli. Za ciężki kawałek chleba. Próbowali szukać innego. W maju ubiegłego roku zaczął pracować w „Upadowej Numer 1”. Mieszkał w Hotelu Robotniczym przy ul. Gliwickiej. Tam też poznał się z bandytą numer 2 — Franciszkiem Wątor.

Wątor — też rolnik, młodszy jest od Sztalmacha o trzy lata. Spiknęli się, zważali i postanowili spróbować żyć lekko. Ale skąd zdobyć gotówkę? Wybrali rabunek, kradzież. Już w sierpniu postanowili zdobyć broń.

Zaczęli więc „polować” na milicjantów i wojskowych. Józef Sztalmach zaopatrzył się w swoim zakładzie pracy w łomy żelazne. Rozpoczął się szukanie odpowiedniej ofiary. I oto 8 listopada na przystanku autobusowym w Mikołowie zauważyli, że do pojazdu wsiadł milicjant, który miał przy sobie broń.

Pojechali tym samym autobusem do Łazisk Górnych i tam udali się w ślad za funkcjonariuszem MO na ulicę Chopina. Paweł Pawlas szedł środkiem jezdni, zaś w odległości kilkudziesięciu metrów za nim obaj napaściny: Sztalmach po lewej stronie ulicy, Wątor po prawej. Po zrównaniu się Sztalmach szybko podbiegł do milicjanta i zadał mu łomem silny cios w głowę. Następne uderzenie pochodziło z ręki Watora. Kiedy Pawlas padł, zabrali mu nagan i zbiegli. Dalszy ciąg już znacie.

Sztalmach porzucił pracę w kopalni „Upadowa 1” i żył na „szerokiej stopie”. Przygotowywał się do ślubu. „Jakiego nie było”, narzeczonej kupował cenne upominki, w Kłobowie wyprawiał wspaniałą ucztę z okazji chrzcina swego krewnego. Wraz z Wątorciem planowali coraz to nowe napady. Kiedy jednak w czasie któregoś bandyckiego „skoku” w Mikołowie padły strzały, Sztalmachowi zaczęła się palić ziemia pod nogami. Dla zmylenia śladów przeniósł się do Mysłowic do Domu Górnicka.

Zmiana miejsca nie uchroniła jednak bandytów przed ręką sprawiedliwości. O ich ujęciu zadecydowała obywatelska postawa ludzi pracy — klientów, ekspedientek, kierowników sklepów. Ludzie ci, choć

sterroryzowani, zastraszeni, mieli jednak otwarte oczy, patrzyli. Twarze zbrodniarzy wryły się im w pamięć. Zwykli ludzie stanęli do walki obok milicjantów.

I oto 29 stycznia jeden z przechodniów poznał twarz bandyty. Zwrócił się do innego przechodnia, by ten śledził Sztalmacha, podczas gdy on zawiadomi milicję. Bandyta jednak zorientował się, że jest obserwowany i zbiegł przez plot posesji przy ulicy Skotnicy. 31 stycznia jedna z ekspedientek również poznała bandytę. Na szczęście pierwszą osobą, do której zwróciła się o pomoc, był funkcjonariusz MO ubrany po cywilnemu.

Godzina 17.30, zimowy wieczór. Kiedy milicjant zbliżył się do Sztalmacha i zagadnął go, bandyta zaczął uciekać, ostrzeliwując się na wszystkie strony. Milicjant również użył broni. Niestety, ciemność pomogła bandycie uciec do Katowic, a następnie do Mysłowic, gdzie — jak powiedzieliśmy — dla zatarcia śladów podjął pracę w tamtejszej kopalni i ukrył się w Domu Górnicka.

Ale przecież Śląsk, to okres gęsto zaludniony i ruchliwy. Ludzie mieszkający w jednej miejscowości dojeżdżają do pracy do drugiej i na odwrot. Te same twarze spotyka się często w różnych miejscach. I mimo że od Mikołowa do Mysłowic jest spory kawałek drogi, w Mysłowicach znalazła się jedna z osób, która właśnie była w Mikołowie w sklepie PSS podczas napadu. Raz poruszone sumienie społeczne nie dało się ani zastraszyć, ani uspić.

Zawiadomiona szybko milicja sprawnie zafatowała się ze Sztalmachem. Po schwytaniu go, w kilka godzin później ujęty został również Wątor.

Sprawcy zbrodni na ulicy Chopina, rabusie naszego wspólnego miasteczka, zostali ujęci i poniosą zasłużoną karę. Ale fakt, że stało się to tak szybko, „awdziejac” należy prostym, zwykłym ludziom pracy. Ich pomoc dla MO była tu czynnikiem decydującym. Walka o zdrowe normy moralne, spokój i bezpieczeństwo obywateli nie jest więc tylko sprawą milicji i publicystów rozzwierających szaty, zabiegających o „moralną odnowę”, lecz każdego uczciwego obywatela.

EDWARD-EMSKI

Pustynne szczyury

(dokończenie)

to wszystko i o wiele więcej jeszcze można tu zobaczyć. Ostatni krzyk mody Zachodu w wydaniu lewantyńskim.

Diabelski chichot saksofonu przedostaje się nawet przez izolowane drzwi kabiny telefonicznej, w której młoda kobieta właśnie nakręca tarczę aparatu.

— Proszę mnie połączyć z siostrą dyżurną... dziękuję... bardzo panią przepraszam, to jeszcze raz ja, dzwoniłam przed godziną... nie odzyskałam jeszcze przytomności... pozwólcie mi, że znów zatelefonuję... dziękuję, bardzo dziękuję.

Odkłada słuchawkę. Patrzy w lustro zawieszane nad aparatem, długo, uparcie. Gdy się odwraca i otwiera drzwi kabiny, twarz jej jest znów spokojna.

Przez otwarte drzwi wdziera się burza frenetycznych oklasków. Saksofonista skończył.

Starszy, wypielegnowany pan w nieskazitelnym fraku, siedzący sam przy zacisznym stoliku w głębi sali, podnosi się na jej widok. Już go dojrzała, skinieniem głowy odpowiada na jego głęboki ukłon.

Troskliwie poprawia jej krzesło. Kelner krzyczy się bezgłośnie, nalewa wino. Nie podaje karty, zamówienie otrzymał widocznie już wcześniej.

Oboje milczą. Trwa to długo. Milczenie staje się ciężkie. Pierwszy odzywa się mężczyzna.

— Chciała mnie pani widzieć, Cino. Jestem, mimo że dużo tym, jak pani wie, rzykuje.

— Chciałam pana widzieć? Ach tak, słusznie. I, widzi pan, mam gołe plecy... Pełna gala.

— Gole plecy? No tak, jest pani w wieczorowej sukni, ale nie rozumiem...

— I nie zrozumie pan, Luigi. Mniejsza o to. Istotnie, chciałam pana widzieć. Czy nie domyśla się pan, dlaczego?

— Dlaczego?

— Luigi, jeżeli on umrze... nie chciałabym wówczas być w pańskiej skórze. Wyjeżdżam do Włoch, ale znajdzie pana, czy tam, czy tu. Wyjeżdżam, bo chcę walczyć przeciwko wam, faszystom. Tutaj to byłoby zbyt łatwe. Chciałam pana pożegnać...

— Cino...

Dalsze słowa guszy werbel bębna. Jazz-band rozpoczyna nową melodię. Pijany officer drzemający przy stoliku podrywa się — seria z karabinu maszynowego? Nie, to tylko bębnek jazzisty.

Ogień otwiera teraz major Popski. Wieża drugiego czołgu obraca się w jego stronę, za chwilę zostanie rozniesiony na strzępy — nie, jest cały i zdrowy, wóz minął czołgi, zostały w tyle.

Następne wozy nadjeżdżają, otwierają kolejno ogień, jada dalej. A potem cisza. Wszystkim wozom udało się minąć czołgi i teraz szwadron dojeżdża do Barce, zatrzymuje się tuż pod mostem.

Tylko parę światła tu i tam, sennie odgłosy małego miasta o północy.

Szwadron rozdziela się. Nowozelandczycy, którymi dowodzi Nick Wilder, ruszają na lotnisko, omijając miasto. Patrol gwardii dowodzony przez wachmistrza Dennisa jedzie przez rynek na drogę prowadzącą do El Abiar, major Easonsmith z kierowcą swoim jeepem udaje się do miasta.

Major Popski z jednym wozem patrolu gwardii — pięciu ludzi — zostaje na „zosi”.

Zołnierze pozostali z majorem Popskim wyciągają z samochodu gasiorek rumu i zaczynają popijać. Nie zwracają najmniejszej uwagi na protesty majora. Ściągają samochód z szosy i piją dalej na potęgę. Majora dochodzą ich stłumione szeptem: „Niech jakiś zasz... czołg pokaże się na tej zasz... szosie, to się wszyscy usz... co mu zrobimy naszymi zasz... karabinami maszynowymi?”

Major stoi na zosi. I on spodziewa się, że czołgi będą ich ścigały. Z oddali dobiega szezeł gasienic. Jak je zatrzymać? Ta pijana zgraja z nim trzęsie się ze strachu, jest do niego. On sam jeden?

— Chciałam pana pożegnać, Luigi. I coś panu powiedzieć na pożegnanie. Rozumował pan błędnie. Sądzil pan, że Marek, bojąc się o mnie, nie będzie próbował się wydostać, i że

świadomość tego, że jest bezsilny, kiedy jego towarzysze idą w pułapkę, nie pozwoli mu zająć się mną. Zatańczymy? Tak świetnie grają... Nie tak blisko, mój drogi. To nie dla pana. I niech pan pomyśli tylko — już nigdy nie będzie pan ze mną tańczył, nigdy mnie pan nie zobaczy... To boli, prawda? To dobrze, choć, żeby bolało. Wracajmy do stolika, nie chcę już więcej tańczyć... A zresztą... Jestem piękna, prawda? A kiedy się przytulam — o tak — można oszaleć? Podobam się panu? Nigdy — rozumie pan, Luigi — nigdy nie będzie mnie pan miał! On... Widzi pan, rozumował pan błędnie. Marek wiedział, że zrobi wszystko, żeby się wydostać. Przekonaliśmy go, że lepiej zrobić to rano. Jego towarzysze mieli dopiero 16 w pułapkę — on już w niej był. Jego towarzysze mieli ryzykować życie za kilkanaście godzin — on sam już za kilka. Pozostawało tylko czekać do rana — ze mną. Czekał, Luigi! To pana chciałam powiedzieć na pożegnanie... Niech mnie pan natychmiast puści, bo zrobię skandal! Nie chce pan chyba, by zajęła się panem polleja?

Szezeł gasienic ucichł. Major Popski siada na kamieniu, jak stary człowiek zastygający obojętnością. Po drugiej stronie szosy, o pięćdziesiąt metrów, stoi wysoki budynek, jasno oświetlony — warsztat. Kilku Włochów w kombinacjach pracuje na tokarniach. Major przygląda się ich sennym ruchom, ich białym twarzom.

Z przeciwległej strony miasta dobiega szezełanie karabinów maszynowych, luna rozświetla niebo — zabawa się zaczęła! Pociski świetlne leżą na wszystkie strony, na lotnisku wybuchają pożary — piorunujące czerwonego dymu pojawiają się jeden po drugim, w miarę jak Nick Wilder powoli objeżdża lotnisko. A teraz strzelanina na lewo od miasta — to patrol gwardii działa. Blisko, w mieście, na głównej ulicy, wybuchają granaty ręczne. To major Easonsmith, światła w warsztacie gasną nagle, pijani żołnierze w dalszym ciągu szepeją, majora dobiegają ich stłumione przekleństwa. Starannie liczy pożary wybuchające na lotni-

sku — Wilder będzie na pewno chciał wiedzieć, ile samolotów zniszczył.

Od rynku nadjeżdża samochód, zatrzymuje się — sygnał świetlny — podjeżdża. To major Easonsmith przerwał swoje figle w mieście — śmieje się, zadowolony, że chwilowo nie musi dowodzić, że jest takim samym wykonawcą zadania bojowego, jak i inni. Nie jest pewien, czy odnalazł dowództwo, prosi majora Popskiego, by z nim pojechał, zna przecież miasto doskonale. Jeep zawraca, jada główną ulicą, nadal zupełnie pustą, zatrzymują się przed „Hotellem” — biura dowództwa na parterze, kwatery oficerów na górze.

D. c. n.



Mieszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

Jak to sobie wytłumaczyć?

Przychodzili przed kilkoma laty na zebrania literatów różnych, ustawicznie. Treścią ich wystąpień było zazwyczaj — w zależności od temperamentu i stopnia kultury osobistej — żądanie lub prośba: „Piszcie o Łodzi!”

Nie bardzo przy tym rozumieli, że można wypowiadać problemy łódzkie w sposób niejako pośredni, nie oznaczając ich nawet tym przymiotnikiem i że można także odmieniać ten przymiotnik we wszystkich przypadkach, a nie dotknąć tych problemów, bo przecież — w gruncie rzeczy — co łódzkie, to i ludzkie i na odwrót.

A zresztą: była sztuka Kazimierza Brandysa o walce łódzkiego proletariatu, były prozatorskie próby Leona Gomoliczkiego; do wierszy Mariana Piechala — bezpośrednio związanych z Łodzią — można dorzucić dużą i wcale barwną wiązkę dobrych wierszy innych poetów, mieszkających w naszym mieście.

W ub. zaś roku ukazała się książka Heleny Duninówny: „Gawędy o dawnej Łodzi”. Natychmiast przeczytałem ją z dużą przyjemnością, gdyż jestem chciwy wiedzy o mieście, w którym mieszkam. Jest to książka o skromnych założeniach: w sposób przystępny, gawędziarski opowiada w kilku rozdziałach o przeszłości miasta. Nie brakuje w niej nawet anegdot. Dziwiłem się Wyd. Łódzkiemu, iż wydało książkę zaledwie w 5.000 egz.

W tym roku nie dziwię się już wydawcom: dotąd ta sympatyczna i tania książeczka nie rozeszła się.

Mój Boże! — myślę sobie — gdyby podobnie napisana książka traktowała o Warszawie, Krakowie, Lublinie czy Wrocławiu — miałaby już ze 2 wydania. Po co zresztą sięgać aż po te miasta? Płock ma mniej, niż 40.000 mieszkańców, a przecież jestem przekonany, że rozkupiliby w krótszym terminie podobną książkę o Płocku.

Co się więc dzieje z sentymentem łódziaków do swojego miasta? Jak wyglądają zainteresowania mieszkańców tego dużego — największego po Warszawie — miasta wobec swojej przeszłości? Gdzie są owi ustawiciele: gdyby zechcieli zainteresować się wspomnianą książką, już by jej nakład był wyczerpany!

Stawiam publicznie te pytania, bowiem sam jestem wobec nich bezradny, nie umiem na nie odpowiedzieć.

Myślę poza tym, że odpowiedź nie jest łatwa, a wiąże się ona z zagadnieniem określenia i zidentyfikowania odbiorcy dóbr kulturalnych w naszym mieście. Gdyby tak tę sprawę choć raz poważnie i dokładnie przewentylować, docierając do socjologów, dziennikarzy i literatów, do inteligencji pracującej, do robotników i działaczy społeczno-politycznych! W losach bowiem tej wędzicznej książeczki jest coś naprawdę bardzo niepokojącego.

Przyczyny, składające się na ten los, są na pewno rozmaite i złożone. Jedną z nich znajduję — nie sądzę, aby naj-

ważniejszą — w samej książce. Oto Duninówna przypomina, iż po powstaniu styczniowym miał w Łodzi powstać Instytut Politechniczny, dzięki któremu miasto już wtedy zaczynałoby tworzyć własną inteligencję.

Przegląd prasy

Ilustrowany i znany w swoim czasie tygodnik „Świat” przynosi w jednym z numerów z 1906 roku wiersz Antoniego Langego „O WARSZAWIE”:

Jan wyjechał z Warszawy. Cekał mało-wiele
A już nazajutrz wszyscy jego przyjaciele —
Rzekłbyś, zanotowali każdy w swym karnecie:
Jan wyjechał, a zatem nie ma go na świecie.
Jan umarł. Ni w kawiarniach, ani go przy kartach
Nie widać! Znikła pamięć o nim nawet w żartach.
Zatem Jan próżno listy pisze do Warszawy
O gotówkę w redakcjach, o najżywsze sprawy:
Nikt mu nie odpowiada! Toż byłoby dziw
Pisać doń, gdy wiadomo, że już jest nieżywy.
Odpowiada na owe listy nieboszyka —
Toć to jest obłąkanie, to metafizyka.
I patrzcie, co się dalej w tej historii święci —
Jan umarł nie na żarty — umarł z niepamięci
Warszawskiej! Pogrzebiony z dala od rodziny.
Bowieć pamięć warszawska nie trwa i godzinę.

KALIKST ŁASICZKA

(Z puścizny poetyckiej)

Do Z...
Ach, ileż razy ci mówiłem:
przez rzekę nie chodź z tym rzeźnikiem,
bo spłyniesz razem z rzeźnym item,
gdyż on zakłuje cię kozikiem!

Ale ty byłaś taka płocha,
że co wieczora szłaś po kładce,
wierząc, że rzeźnik ciebie kocha...
Lecz on o mięsnej myślał jatce!

I oto skutki: płacze matka,
bo ty przebywasz gdzieś w zaświatach,
choć znów przez rzekę wieszcie kładka,
choć znów lato całe, w kwiatkach!



Rys. Karol Baraniecki

Redaguje Zespół C Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 344-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia reprintsów, nie zwraca. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Historioz oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 1 — 4-579 z zaznaczeniem os. „Ogłoszy”. Druk „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. Z. 770 II, 58. 5-9.

Złóżysz łatwiej
egzaminy,
gdy znać
będziesz
„MIESZANINY”

Gmach owej Politechniki miał stać na terenach, znanych nam obecnie jako park im. Sienkiewicza. Poczyniono wszystkie przygotowania. Niestety, w ostatniej chwili daleki i wrogi Petersburg „zreflektował się”, wycofał się z tej sprawy.

Jakże niepowetowana szkoda! Przecież, gdyby powstał ów Instytut, Łódź miałaby swoją inteligencję o wcale już omszałym rodowodzie!

Najstrzejsze ołówki świata



— Co się tak gapisz? Nie widziałeś nigdy wstydlivego psa

W dotychczasowych odcinkach naszego cyklu sporo powiedziane zostało o osiągnięciach zasłużonych karykaturzystów z zespołu tygodnika „New Yorker”, o stworzonej przez nich „szkole” humoru rysowanego. Nie wyjaśniliśmy dotąd, że w USA istnieje druga taka „szkoła”, stworzona przez humorystów z pism „Saturday Evening Post” i „Look”. Przejęły one dawnych współpracowników magazynu „Colliers”, który przed kilku laty przestał się ukazywać z powodu trudności finansowych.

Oba tygodniki prezentują czytelnikom humor mniej intelektualny i refleksyjny, niż czyniła to rysownicy spod znaku „New Yorkera”. A więc — bardziej czytelny, choć też często oparty na karkołomnych, absurdalnych konwencjach. I ta linia podtrzymywana jest w obu pismach konsekwentnie; czytelnik znajduje tam dowcipy bez specjalnych głębi filozoficznych, ale przystępniejsze. Krótko można to określić jako holdowanie konwencji „gagu”.

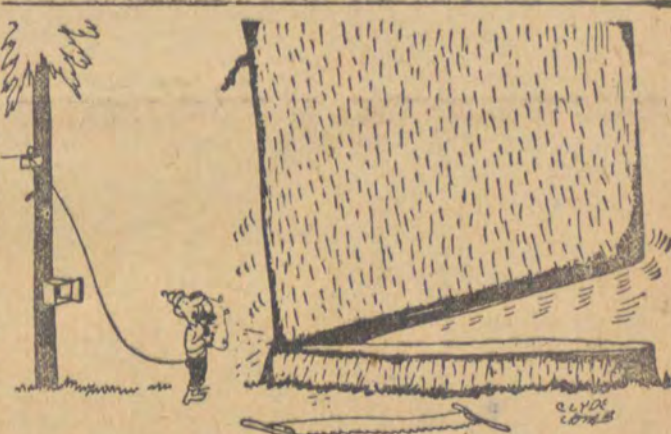
Clyde Lamb jest czołowym przedstawicielem tego nurtu, obok omawianego niedługo w naszej rubryce Toma Hendersona. Lamb buduje komizm z elementów zwyczajnych, codziennych: scinanie drzewa, chłopiec na huśtawce etc. Ale wyolbrzymienie, doprowadzenie do jakiejś przesady tych prostych elementów — rodzi arcyzabawną groteskę. Scinane drzewo jest przesadnie wielkie, narkoza trwa zbyt długo, pies jest przesadnie wstydlivy, chłopiec na huśtawce — łatwo się domyślić — zbyt wściebki...

Wszystko się zresztą idealnie zgadza z podstawowym założeniem komizmu: każde przejawianie się rodzi śmiech. I odnosi się ta reguła nie tylko do portretów, karykatur — lecz i do sytuacji.

J-ert.



— 893, 894, 895, 896...



— Uwaga! Le-ci!

CLYDE LAMB

„Rozważania o historii”

Jeżeli znacie rzadką radość płynącą z obcowania z myślą mądrą, samodzielną i sprawiedliwą, syntetyzującą bez uronienia czegośkolwiek z różnorodnych, szczegółowych racji — przesłanek, jeżeli dana jest wam jeszcze taska ustalania swego stosunku do świata i dorabiania się własnej o nim prawdy, jeżeli niedawny okres gorących sporów o sprawy zasadnicze naszej epoki poruszył was choć

trochę, przeczytajcie te „Rozważania”. Jest w nich bowiem żarliwość pełnego zaangażowania we współczesność i rozważa, zrodzona z wiedzy, szerokiej perspektywy historycznej oraz odpowiedzialności intelektualnej.

W swych „Rozważaniach o historii” Kula wychodzi od podstawowych problemów metodologicznych dyscypliny. Co to jest historia — pyta — czy zasadniczy zrab faktów historycznych jest znany, czy „fizyczny” fakt historyczny i jego interpretacja należą do dwu różnych kategorii metodologicznych? Co jest motorem działań

jednostki i grupy ludzkiej? Jakże są zasadnicze atrybuty historycznego myślenia? Obszar i waga spraw tu poruszonych nie da się przekazać w krótkim wyliczeniu i sięga znaczeniem daleko poza teren uprawianej przez Kulę dziedziny wiedzy (jak zawsze u rasowego teoretyka). Zresztą wyliczanie nie jest tu wskazane. Tekst rozważań ma walor autentycznej wielkiej literatury: ważne nie ogranicza się do tego tylko, co autor sformułował.

Oto walki do cna zdawałoby się wyeksploatowane przez prasę: sprawa architektury, sprawa prawdy

obiektywnej i użytecznej, kwestie związane z propagandą — wszystko to oceniane okiem naukowca, który nie poprzestaje na opisywaniu i oburzeniu, ale próbuje dociekać przyczyn.

I wreszcie najważniejszy problem etyczno-polityczny: pojedynki racji na temat miejsca człowieka w świecie, stary i wielokrotnie wulgaryzowany spor między zwolennikami aktywnego działania a ludźmi o czystych rekach. Aczkolwiek problem ten wybuchł w całym dramatyzmie dopiero w ostatniej, wyzwoleonej z wędzidel spokojnego profesorskiego wykładu, do-

kumentalnej dziś, bo pochodzącej sprzed kilku lat opinii dla córeczki, trudno nie zauważyć jak obsesja tej najważniejszej sprawy trapi autora przez wszystkie karty rozważań. To prawda, książka Kuli jest moralitetem, ze wszystkimi słabościami tego gatunku. Ale jest to moralitet głoszący potrzebę uświadomienia i działania. A jeżeli racje są wątpliwe? Sami dopowiemy sobie i tę rację ostateczną, która jest zbyt banalna, by autor mógł ją zapisać w swych „Rozważaniach”: już sam fakt uczestniczenia w życiu jest działaniem racją dostateczną.

W upartej walce przeciw

mitom-historia jest nieustanna walka człowieka z mitami, które sam tworzy — to jedno pozostawia Kula nienaruszone: ideę działania, zabezpieczoną przed konformizmem obecnością czynnej i sprawnej świadomości i trudnym, najbardziej ludzkim obowiązkiem codziennego wyboru.

W. G.

Witold Kula „Rozważania o historii”, str. 296, PWN, cena 22 zł.

odgłosy str. 11

2 nowe filmy dokumentalne

Choc tym razem napisał o dwóch krótkometrażowych, wyprodukowanych przez Wytwórnię Filmów Dokumentalnych w Warszawie, filmach: "Kartusza łowicka" i "Warszawiak w Kijowie". Pierwszy z nich jest dziełem twórcy wstrząsającego filmu - plakatów "Lwowa chłigani" - Hoffmana. Skorożemskiego, "Kartusza łowicka" przenosi do wyidealizowanego obrazu przeszłości, bez słownego komentarza. Film zawiera trzy elementy: wybitny na pseudohisteryczno-wyobytkowy (po postaci "Kartuszkow i pudli szolajczy" we wszystkich ekranach). Druga warstwa obrazu stanowi element folklorystyczny, dotyczący regionalnych strojów i tańców.



Jak wiadomo — krakowski publicysta i pisa Jerzy Hordynski, wystąpił w filmie „Kołose szczęścia” kreując postać erotomana. Udało nam się uzyskać fotostatek z owej — epizodycznej misji — sceny, którą krakowianie oglądali z niemałą satysfakcją...

PROBLEM
CONJUNCTION
PALAGY

EDWARD ETTLER

Wypadek wrocławski prowokuje jednak inne re-
akcje niż postawianie na trybunie już nieprzeżyłną
rolę boż. Wypadek ów przypomniał o kluczowym pro-
blemie polskiego przemysłu filmowego: o prowizor-
ce, którą zapominamy — poszkodowana Wyworna po-
trafiła dzieci zaadaptowaniu wnętrza budowanego dla
nich celów. Teraz, po pożarze fabryczny zapewne
zrekrut, czy miało to swój wpływ — czy nie.
Kiedys robiło się u nas 4—5 filmów rocznie. Teraz
robi kilkanaście i więcej. Towarzyszą temu sprzeż-
ności. Wymienimy najwzniesze: Twórcy skazują się
na „wastle gardia” w wywornicach, (spowodowane
skiem w „nieśpiących szczyt”), a wywornice narze-

keja na przestoje które nieważą got zbył mała ilość filmów skierowana jest do produkcji. Dalej wytwórnie stwierdza, iż jako przedsiębiorstwa prosperujące na zasadzie planowania — winny znać zamierzenia twórcze Zespołów choćby na okres roku. Na to Czynniki spracujące opiekę nad Zespołami powiadają, że trudno zaplanować kiedy przyjdzie komus do głowy pomysł o dobrej filmowej rzeczy, a także — kiedy ów pomysł zostanie w kształcie scenariusza. Zdaniem tych Czynników specyfika filmu pozwala na stosowanie taryfy ulgowej przy planowaniu produkcji, i jako że filmy muszą się pojawiać na czasie, co w sposób oczywisty sprzeciwia się przeciwnemu magazynowaniu scenariuszy w szufladzie.

Potem dalsze sprzecznosci. Do niedawna *Lódz* stawiała siedzibę w kraju ośrodek filmu fabularnego. Powstała jednak Wytwórnia Wrocławska, a ostatnio zakład nowej wytwórni narodził się w centrum Warszawy. Jest więc zrozumiąla sprzeczność interesów trzech miast; ewolucjiści wypadają nadmiernie, że zdaniem większości twórców ostateczną rolę mogłaby dopiero odegrać nowocześnie wytwórnia położona gdzieś między Marszałkowską a Nowym Światem, ogólnie opodal Białolegii. Była o to w swoim czasie ogromna awantura, z apeli, protestami i ingerencjami miłą włącznie, jako że ambicje pozostających dwu miast poczuły się tym projektem dotkliwie ugodzone. W rezultacie głośniejszy spór projekt został odłożony na lat pięć t., nieważącnie przystąpiono do dotychczasowej sytuacji. Stąd nowe, rozliczne adaptacje, które przystają jasna nie są rozwiązaniem obliczonym na dalszą pracę, a więc awantura o nowoczesny obiekt gotowa

wybuchnąć iada m nie) aktywnością, — aktywność — znależność, iż film pozafrania.

Tak się w skrócie regniezie w własnej bezdnie rozbudowyw sposób postara się o, która powstaje przedsięwzięcie zasadnie, czy rozbudowaniu może o rozwinięciu czasu mówi się, twórcia była, jeszcze

Lakowej sprzeciwia Otó i meritum spójności publikowana jest, planie mają perspektywę. „Odełany rysunek, a niedługo usatysfakcjonowani w czerwonej okcie uwzględniła potrzeb na ten cel eksplodoałik przy ul. Łakowej

Toteż więc mamy naszego miasta. Ktoś galeine znaczenie i filmowego — przekrójnych miast — co wskiego urbanist

Wypis Poluńskich
złoty strip-tease
KONTYMENT
ZAGUBIONY



Np. piosenka odśpiewana na dwa głosy przez zakochanych siedzących na płocie — musi wywrzeć niezapomniane wrażenie.

A. J. PIOTROWSKI
10 procent
dla mnie

Niedawno telewizja przypomniała dawny film produkcyj polskiej, zrealizowany w roku 1932 przez Juliusza Gardana. Ten film, o tytule często wspomnianym, przez nasze many („10% dla mnie”), stanowiąc może przyczynek do zajmującej dyskusji o narodowym stylu w naszej komedii filmowej z lat ubiegłych.

Przed wszystkim warto zwrócić uwagę na koncepcję reżyserią rzeczy. „100% dla mnie” stanowi przykład — i to klasyczny nawet — filmu opartego sposobem pozycjonowania z operetki. Ciekawe! Współczesne filmowej krytyki bynajmniej nie niepokoi fakt, że aktorzy, należący w dacie — przeważają co jakiś czas wypowiedzi, nie kwestii prozą i przechodzą do kontynuowania dialogu słowni melodyjnego tania. Ha, ale tu nie



wypuchnąć jąda moment i to z podwójną (przynajmniej) aktywnością. A owa podwójna — jak się rzekłoby — aktywność — znajduje podstawę w pomysłowej koncepcji filmu polski ostatnio pozyskał sobie kredyt zaufania.

nie, czy o rozwijaniu problemu? Pamiętam, iż swoje-
czasu mówiło się, (a było to dawno temu, gdy Wy-
twórnia była jeszcze szczepielnią), iż ten przy ul. Ła-
kowej sprzeciwia się zamiarom modernizacyjnym

Oto i meritum sprawy "Ogłosz" - mieli już przy-
jemność publikować słowo o planie urbanistycznym
miasta, planie mającym na uwadze rozwój Łodzi i je-
go perspektyw. "Ogłosz" przedrukowały nawet gus-
ty trzaski, a niedługo potem autorzy planów zostali
usatyfakcjonowani doręczną nagrodą i dyplomami
w czerwonej okładce. Tymczasem ów plan ni-
wagłomielni potrzeb przemysłu filmowego, osłabiał
na ten cel eksploatowany już do granic możliwości ka-
pitał przy ul. Łokowej.

naszego miasta, które chciało zachować swoje niebagatelnie znaczenie jako centrum polskiego przemysłu filmowego — przekształcone została nie tyle apetytem innych miast — co ostro ztemperowanym ołówkiem własnego urbanisty.

P. Leonarda Zawistawskiego
jubilusz niezwykajny

Pan Leonard Zawisławski, obecnie kierownik montażowni PWSE, pracuje w kinematografii od roku 1908. Początkowo kino-mechanik, później laborant, a wreszcie operator filmowy, miał p. Zawisławski, je-
dyną w swoim rodzaju szansę, za którą wiele dałaby
piszący kronikę polskiego filmu. Obserwował prze-
cież rozwój rodzimego kina i dużo mógłby na ten
temat powiedzieć. A trzeba tu dodać, że ten znakomi-
ty w swoim czasie operator, autor zdjęć do wielu
popularnych niegdyś obrazów (m. in. „Ziemia obe-
cana” i „Dusze w niewoli” z Sosikim, liczne kroniki
reportaże itp.), zdobywca medali „za najpiękniejszą
zdjęcia kabinaznu polskiego” i wreszcie człowiek,
który zwiadał spory kawałek świata — legitymuje
się dziś życiowym stanowiacym gotowy prawie wra-
tek powiesiwość. Była by to książka jedyną w swo-
im rodzaju — i ciekawa.

Chociaż wchodzi tu w grę pięćdziesięciolecie — trudno jednakże — znając młodą sylwetkę pań Zawislawskiego — nazwać go jubileuszem. Można mu jedynie życzyć długich jeszcze lat pracy w umiarkowanym przeczeciu zawodzie, i to czynimy z przyjaźnością.



Dwa zdjęcia, które reprodukcję obok — pochodzą z tygodnika „Światowid”. Pod pierwszym, publikowanym w roku 1931 — redaktor umieszcza następujące słowa: — „Leonard Zawisławski, operator filmowy, wyróżniony przez Komisję Ministerstwa dla najskuteczniejszego zdjęcia krakobrazów polskich. Nagrodzony za wysoce artystyczne zdjęcie medalem na Wystawie Międzynarodowej Foto — Kineematograficznej w Warszawie. Ostatnio sfilmował „Dusze w niewolnicze”. Leona Trystana,



A oto komentarz do drugiego zdjęcia: — „Leonard Zawistawski, chlubnie znany operator filmowy, mistrz swego zawodu, nie cofający się przed najbardziej niebezpiecznymi zdjęciami, nawet na wysokich szczytach tatrzańskich. P. Zawistawski jest jedynym narciarzem — operatorem”.